

TRZEŻWOŚĆ

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY, POŚWIĘCONY SPRAWIE WALKI
Z ALKOHOLIZMEM I ODRODZENIA NARODU,
ORGAN POLSK. T-WA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŻWOŚĆ“,
ABSTYNNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW,
KOŁA LEKARZY ABSTYNETÓW
i WILEŃSKIEGO TOWARZYSTWA WALKI Z ALKOHOLIZMEM
i INNYMI NAŁOGAMI „MENS“.

Pod redakcją JANA SZYMAŃSKIEGO.

Nr. 6—7

CZERWIEC—LIPIEC 1935

Rok X

Przedruk artykułów bez zezwolenia Redakcji wzbroniony.

O WEWNĘTRZNEJ SIŁE.

MAMY ORLA BIAŁEGO, SZUMIĄCEGO NAD GŁOWAMI, MAMY TYSIĄCE POWODÓW, KTÓRYMI SERCA NASZE CIESZYĆ MOŻEMY. LECZ UDERZMY SIĘ W PIERSI. CZY MAMY DOŚĆ WEWNĘTRZNEJ SIŁY? CZY MAMY DOŚĆ TEJ POTĘGI DUSZY? CZY MAMY DOŚĆ TEJ POTĘGI MATERJALNEJ, ABY WYTRZYMAĆ JESZCZE TE PRÓBY, KTÓRE NAS CZEKAJĄ? PRZED POLSKĄ LEŻY I STOI WIELKIE PYTANIE, CZY MA BYĆ PAŃSTWEM RÓWNORZĘDNEM Z WIELKIEMI POTĘGAMI ŚWIATA, CZY MA BYĆ PAŃSTWEM MAŁYM, POTRZEBUJĄCEM OPIEKI MOŻNYCH?

JÓZEF PIŁSUDSKI.

(11 stycznia 1920 r.).

ALKOHOL A ZAGADNIENIE WYCHOWANIA FIZYCZNEGO.

Referat, wygłoszony na Zjeździe Delegatów Kół Tow. „Trzeźwość“ dn. 30.V. 1935 r.
w Warszawie.

Zagadnienie zwalczania alkoholizmu wielokrotnie poruszane było w związku ze sprawą wychowania fizycznego i rozwojem sportów. Zupełnie słusznie podkreślano, że w tych środowiskach, w których szerzy się zainteresowanie ćwiczeniami fizycznymi i sportem, ginie alkoholizm, a przynajmniej zmniejsza się w znacznym stopniu. Młodzież, nie wykazująca skłonności do przebywania na świeżym powietrzu, do uprawiania sportów i gier ruchowych, poczyną interesować się rozrywkami niezdrowymi i staje się powoli podłożem, na którym bujnie rozrastają się takie chwasty, jak hazard, alkoholizm, rozpusta i narkomanja.

Wpływ korzystny sportu i wychowania fizycznego na ograniczenie rozmiaru tych kalectw społecznych, zdaje się więc, nie ulegać wątpliwości. Nie została jednak dostatecznie zanalizowana zależność tych dwóch zjawisk i najczęściej słyszy się tłumaczenie rażące swoją prostotą i powierzchownością. Mówi się prosto, że młodzież, która wy-

pełnia sobie czas sportami i ćwiczeniami, niema czasu na przesiadywanie w knajpach, czy też na inne niezdrowe rozrywki. Oczywiście, trudno odmówić słuszności temu tłumaczeniu, aczkolwiek jest ono stanowczo niewystarczające.

Przedewszystkiem należy ustalić, że alkoholizm nie jest następstwem tylko tego faktu, iż każdy człowiek czuje potrzebę rozrywki i zadowolenia i że posiada czas i pieniądze, aby znaleźć rozrywkę w postaci libacji alkoholowej. Potrzeba zabawy i rozrywki jest ta sama u współczesnego człowieka, jaka była u człowieka pierwotnego i u ludów dzikich. Mimo to używanie alkoholu dla zaspokojenia potrzeby rozrywki jest cechą cywilizacji i z pewnością nie było znane u ludów pierwotnych, choć nie były im całkowicie obce produkty zmienione przez fermentację alkoholową i zawierające alkohol.

Alkoholizm jest następstwem uszkodzenia ustroju ludzkiego przez zmianę stosunków fizycznych i społecznych, spowodowaną przez zwycięstwo człowieka nad przyrodą. Człowiek—częstka przyrody, zwyciężył i opanował przyrodę i to doprowadziło go do stanu, jaki jest zwykłym losem zwycięzcy, do stanu dekadencji fizycznej i moralnej. Gdyby nie nastąpiła jakaś zmiana, jakiś wstrząs, któryby odwrócił losy współczesnego cywilizowanego człowieka, to stan ten musiałby ulegać stopniowemu pogorszeniu i wreszcie musiałby nastąpić zanik gatunku ludzkiego.

Spróbujemy zanalizować, na czem polega ta zmiana stosunków, której następstwem jest tak znaczne obniżenie wartości biologicznej gatunku.

Nie trudno jest odtworzyć sobie w myśli te warunki bytu, w jakich znajdował się człowiek pierwotny w tym okresie, kiedy na globie ziemskim powstawały możliwości istnienia takiej odmiany zwierzęcia ssącego, jaką jest homo sapiens. Człowiek pierwotny żywił się wszystkimi produktami, jakie znajdował w otoczeniu ze świata roślinnego i zwierzęcego. Dla zdobycia pokarmu musiał wykonywać bardzo wiele pracy, wiele ruchu wszechstronnego, musiał biegać, pełzać, kryć się w terenie, musiał włązić na drzewa, przepływać wody, musiał staczać uciążliwe walki z silnymi zwierzętami, chcąc zdobyć ich mięso na pożywienie i skórę na pierwotne odzienie; często stawał się sam zdobywcą tych zwierząt. Ten ruch i walka były czynnikiem niezbędnym dla normalnego ukształtowania się organizmu człowieka. Od tego ruchu zależało spożycie pokarmu, normalne ukrwienie i rozwój narządów wewnętrznych, a zwłaszcza gruczołów wewnętrznego wydzielania, których wydzielina w postaci t. zw. hormonów reguluje nieustannie czynności całego ustroju, a przedewszystkiem czynności układu nerwowego roślinnego, niezależnego od naszej woli, a kierującego wszystkimi najważniejszymi funkcjami ustroju. Od normalnego więc żywienia i od normalnej ilości ruchu zależały te wszystkie właściwości cielesne, które dawały człowiekowi możliwość utrzymania się przy życiu w tych niezmiernie trudnych warunkach.

Do czynników kształtujących organizm ludzki należały również bodźce natury klimatycznej. Człowiek był narażony nieustannie na zmienność klimatu. W zimie marzł na wietrze i mrozie, w lecie prażyło go słońce, moczyła ulewa. Wszystko to jednak wpływało nań korzystnie w sensie biologicznym. Co słabsze musiało zginąć. Pozostało

przy życiu tylko to, co było silne i co dostosowało się przez swoje cechy fizyczne i psychiczne do otoczenia.

A więc te wszystkie cechy fizyczne, a przede wszystkim cechy charakteru takie, jak męstwo, odwaga, roztropność, opanowanie nerwów, wytrzymałość na ból i trud i t. d., niezmiernie korzystne z punktu widzenia społecznego, cechy które pozwoliły człowiekowi na opanowanie świata, wszystkie one wykształciły się pod wpływem bodźców wymienionych, pod wpływem wielkiej ruchliwości fizycznej człowieka i pod wpływem odpowiedniego pożywienia.

Chciałbym podkreślić, że wszystkie te cechy charakteru są związane z pewną konstytucją układu nerwowego roślinnego, który jest niewątpliwie siedliskiem uczuć i woli. Warunkiem normalnego funkcjonowania tego układu były te wszystkie czynniki kształtujące, o jakich była mowa. Zrozumiałą więc jest rzeczą, iż usunięcie jednego chociażby z tych czynników kształtujących ustrój musiało nieuchronnie pociągnąć za sobą naruszenie równowagi w obrębie układu roślinnego (wegetatywnego), jaka zależała od tych wpływów zewnętrznych. Wobec tego, że charakterystyczną cechą w czynności tego układu są t. zw. działania antagonistyczne, łatwo sobie można wyobrazić, jak upośledzenie czynności jednego z antagonistów przyczynia się do wzmożenia funkcji drugiego i powoduje naruszenie równowagi. To naruszenie równowagi i harmonii przejawia się jako pewne wyczuwanie, że nie wszystko jest w porządku w ustroju, że jakieś podświadome pragnienia są niezaspokojone. Wyczuwa się to jako niepokój, jako potrzeba wrażeń i podrażnień zmysłowych, które dawniej łączyły się z bodźcami kształtującymi ustrój.

Opanowanie przyrody i rozwój cywilizacji zmieniły zasadniczo warunki bytu człowieka. Rolnictwo i hodowla zwierząt domowych dały człowiekowi możliwość zdobywania większej ilości pożywienia bez wielkiego wysiłku. Odpadła potrzeba ruchu i nieustannej walki. Zmniejszył się w znacznym stopniu ogień wewnętrzny, podsycany dawniej nieustannie przez pracę mięśniową wszechstronną i nieprawdopodobnie intensywną, o jakiej pojęcia mieć nie może najciężej pracujący obecnie robotnik. To zmniejszenie ruchu spowodowało mniejsze potrzeby pokarmowe i wskutek tego pokarm nie może już spełnić różnorodnych zadań, jakie muszą być przezeń wypełnione, aby utrzymać ustrój przy zdrowiu. Skoro mniejsze ilości energii potrzebne były ustrojowi pozbawionemu pracy, to wystarczyło dla zaspokojenia głodu wprowadzać o wiele mniejsze ilości pożywienia, niż poprzednio, kiedy wielka ruchliwość i ciężka praca fizyczna wymagały dużego dowozu energii. W tej małej ilości pożywienia było zbyt mało — w stosunku do potrzeb — takich składników pożywienia, jak witaminy, jak pewne sole rzadko spotykane w pokarmach i t. p. Wszystkie te składniki muszą być dostarczone ustrojowi w ilości niezminionej, choćby człowiek nie odczuwał głodu. A niedostateczny dowóz tych składników musiał pociągnąć za sobą wielką szkodę dla ustroju, przede wszystkim zaś uszkodzenie układu wegetatywnego.

Oto pierwszy z czynników destrukcyjnych, powodujących uszkodzenie układu wegetatywnego, naruszenie jego równowagi i harmonii. Nic więc dziwnego, że zmiana charakteru człowieka i obniżenie jego

wartości biologicznej i społecznej były następstwem tego naruszenia równowagi.

Zmniejszenie ruchliwości człowieka pociągnęło więc za sobą zmianę żywienia i uszkodzenie ustroju.

Ale nie koniec na tem! Opanowanie przyrody polegało również na tem, że człowiek nauczył się odgradzać swoje ciało od bodźców klimatycznych. Począł budować schronienia, przygotował sobie odzież, nauczył się korzystać z ognia, jednym słowem stworzył sobie sztuczny klimat, taki pozbawiony niespodzianek i silnych bodźców, klimat, który nie był już groźny nawet dla ułomków, chorych i nieprzystosowanych do życia. I oto odpadł drugi czynnik kształtujący ustrój, czynnik, na miarę którego stworzony był człowiek. I w tym wypadku odbiła się ta zmiana stosunków zewnętrznych na ukształtowaniu charakteru człowieka w sposób niekorzystny.

Wpływ światła i zimna, wiatru i deszczu był wzięty w rachubę w koncepcji ustroju człowieka. Brak tego wpływu naruszył harmonję, naruszył prawidłowe żywienie i spowodował wypaczenie fizyczne i psychiczne.

Wreszcie największą szkodę wyrządził ustrojowi człowieka nowy sposób zaopatrzenia w żywność i nowy rodzaj produktów żywnościowych. Rolnictwo dostarczyło człowiekowi pożywienia w wielkiej ilości, ale pożywienia jednostronnego, jakie można było najłatwiej i najtaniej produkować w danym klimacie. Konieczność magazynowania i transportu zmusiła człowieka do oczyszczania produktów od wszystkiego tego, co było mniej smaczne i przemysł żywnościowy począł się wysilać, aby dać produkty możliwie wyrafinowane, łatwo przyswajalne, smaczne i coraz to tańsze. Niesłychane poprzednio skomplikowanie stosunków społecznych i nierówność klas społecznych, spowodowały, że większa część każdego społeczeństwa zaczęła się żywić pokarmami bardzo oczyszczanymi, nie zawierającymi tych wszystkich składników, jakie są niezbędne dla prawidłowego ukształtowania organizmu. Dawne proste i zdrowe pożywienie roślinne, składające się z dzikich roślin i owoców, zginęło z powierzchni ziemi, a zostało zastąpione przez pożywienie sztucznie oczyszczone przez przemysł żywnościowy. Oczyszczenie produktów szło tak daleko, że nawet składniki otrzymane przy fermentacji, zawierające tylko pewien zapas energii, a nic poza tem, również znalazły miejsce w jadłospisie człowieka.

W tem miejscu narodził się alkohol, najstraszliwsza zemsta pokonanej przyrody, trucizna powstająca w produktach przechowywanych przez człowieka zwycięzcę, który chcąc się całkowicie uniezależnić od pokonanej przyrody, począł jej twory przechowywać sobie na zapas na pożywienie i spowodował przypadkowo fermentację alkoholową.

Jak wiele trucizn roślinnych — alkohol działa przedewszystkiem na układ wegetatywny najczulszy i najważniejszy dla życia mechanizm wewnętrzny człowieka. Z jednej strony użycie alkoholu nawet pierwotnie zawartego w bardzo małej ilości w produktach słabo sfermentowanych pochodzenia roślinnego i zwierzęcego (kumys) działało niekorzystnie na układ wegetatywny i zwiększało to naruszenie równowagi, o jakiej była mowa poprzednio. A z drugiej strony wytrącony z równowagi układ nerwowy znajdował zadowolenie i upodobanie w podrażnie-

niach przez swoiście działającą truciznę, która na nieszczęście rodzaju ludzkiego, nie zabija odrazu, a dopiero po dłuższym czasie.

W ten sposób jasnym się staje, że alkoholizm w nowoczesnej cywilizacji jest ciężką chorobą organiczną i że sama psychoterapia i propaganda nie wystarczy, tak jak nie wystarczy policyjny zakaz, choć z żadnego z tych środków nie mamy prawa rezygnować. Konieczne tu jest leczenie przyczynowe, które przywróciłoby równowagę układowi nerwowemu i harmonię ustrojowi. Konieczne jest dążenie do odrodzenia fizycznego i psychicznego, nawrót do przyrody, do tych warunków, które kształtowały tak korzystnie ciało i duszę ludzką.

W ostatnich czasach daje się stwierdzić we wszystkich społeczeństwach energiczny zwrot ku lepszemu. Zdecydowano się przywrócić człowiekowi utracony przez cywilizację ruch i wysiłek mięśniowy—możliwie wszechstronny. Postanowiono wrócić ustrojowi wszystkie bodźce klimatyczne, tak ważne dla zdrowia. Postanowiono zbadać wszystkie tajniki ustroju w związku z zagadnieniem żywienia. Równocześnie daje się stwierdzić radosny objaw, że spożycie alkoholu zmniejsza się wyraźnie w miarę postępu tej akcji.

W Polsce genjusz Marszałka Piłsudskiego powołał do życia organizację, zapewniającą szybki rozwój wychowania fizycznego i sportów. Trudno nie wyrazić największego podziwu dla tej trafności oceny sytuacji biologicznej i politycznej, w jakiej się znalazł nasz naród. Za najlepsze lekarstwo i najpewniejszy środek odrodzenia narodu uznał Marszałek powszechne wychowanie fizyczne i sam osobiście brał udział w pracach organizacyjnych, obejmując przewodnictwo w Radzie Naukowej Wychowania Fizycznego.

Po rozważaniach poprzednich widać jasno, że wychowanie fizyczne i ruch przeciwalkoholowy zmierzają w jednym kierunku do odrodzenia ludzkości. Wszystkie te cechy charakteru, jakie człowiek utracił w okresie cywilizacji, zdobędzie znów, jeśli ruch w kierunku rozpowszechnienia wychowania fizycznego i sportów szerzyć się będzie nadal z tą samą, co dotąd siłą. Alkoholizm sprowadza skutki diametralnie przeciwne, przeszkadza w osiągnięciu tego celu, do którego zmierza wychowanie fizyczne. Jeśli prawdą jest, że w konkurencji narodów, jaka coraz to bardziej uwidacznia się w ostatnich czasach, ten naród się ostatecznie, który najprędzej odrodzi się duchowo i fizycznie przez wychowanie fizyczne, to niemniej prawdą jest, że ten naród osiągnie prędzej pożądaną cel, który skuteczniej pozbędzie się tej zmory życia współczesnego, jaką jest alkoholizm i prawdą jest, co twierdzi Bunge, że „w pokojowej walce narodów bezlitośnie zdeptana będzie ta rasa, która nie wyrzeknie się alkoholu“. Tem prędzej dojdziemy do celu, im energiczniej wyciągniemy z krwawiącej rany naszego ciała nieznośną zdrę alkoholizmu, jaką zraniła nas współczesna cywilizacja, i tem lepiej wypełnimy nakaz Wodza Narodu, którego śmierć wypełniła serca nasze bólem i kraj okryła żalobą.

Doc. Dr. Gustaw Szulc.

Z DOŚWIADCZEŃ I OBSERWACYJ NAD LECZENIEM ALKOHOLIKÓW I NARKOMANÓW.

Referat wygłoszony na Zjeździe Delegatów Kół Tow. „Trzeźwość“ dn. 30.V. 1935 r.
w Warszawie.

Sprawie leczenia nałogowców poświęciłem szereg swoich wykładów, urządzanych staraniem Tow. „Trzeźwość“. Jest to zagadnienie znane Państwu w stopniu, określonym potrzebami ludzi, którzy zajmują się walką z alkoholizmem. Dlatego w dzisiejszym swoim wykładzie — odbiegając od zapowiedzianego tematu — chcę omówić możliwość i sposoby wczesnego spostrzegania tych momentów, które mogą prowadzić do powstania nałogu i które najczęściej uchodzą uwadze otoczenia. Jest to zagadnienie tem bardziej ważne, że wczesne rozpoznanie niebezpieczeństwa, zagrażającego człowiekowi, znakomicie ułatwia leczenie i może pozwolić na postawienie pomyślnego rokowania. Wiemy aż nazbyt dobrze, że najbliższe otoczenie chorego zaczyna się orjentować w jego stanie dopiero wówczas, gdy choroba rozwinie się w sposób groźny i nie pozostawiający żadnych wątpliwości co do swego charakteru. Większość przypadków, które przechodzą przez ręce lekarza psychiatry, to zadawnione postaci chorobowe, najczęściej rokowane niepomyślnie, trudne do opanowania i niewdzięczne do leczenia. Dzieje się tak nie tylko z winy chorych, ale w znacznym stopniu z winy ich otoczenia. Najbliższe otoczenie, a więc rodzina, w słabym stopniu orjentuje się w życiowej sytuacji bliskiego sobie człowieka, a wszelkie odchylenia od normy ocenia najczęściej w sposób fałszywy. Pewna znajomość i umiejętność spostrzegania nieprzychylnych dla człowieka konstelacji wewnętrznych i zewnętrznych, może w znacznym stopniu przyczynić się do wczesnego, a dzięki temu skutecznego stosowania środków zaradczych.

Przyczyny prowokujące wybuch nałogu możemy podzielić w sposób najogólniejszy na dwie kategorie: na przyczyny wewnętrzne i zewnętrzne, to jest takie, których doszukujemy się w budowie psychofizycznej człowieka i takie, które wynikają z ogólnie panujących form życia zbiorowego. Jest rzeczą znamioną, że momenty sprzyjające rozwojowi nałogu mogą nie wykazywać między sobą najmniejszego podobieństwa. Zarówno te typy ludzkie, którym dopasowanie się do życia przychodzi z wielką trudnością, stwarzając okresy złego samopoczucia, depresji i melancholicznej nostalgji, jak i te, które zdradzają skłonność do gorącego współżycia z ludźmi, do syntonicznego współdziewczenia ze zbiorowością i pełnego rozmachu wyżywiania się na terenie rzeczywistości, mogą bardzo łatwo — o ile dołączą się jeszcze sprzyjające warunki zewnętrzne — uleść nałogowi. Dla jednych narkotyki stanie się czynnikiem ułatwiającym współistnienie w grupie społecznej, pobudzającym do działania i usuwającym opory i zahamowania, dla drugich będzie czynnikiem potęgowania doznań o charakterze euforycznym, dającym możliwość jeszcze szerszego, jeszcze potężniejszego wyżycia się. I tak, jak ludzie nieśmiali o astenicznym sposobie reagowania, uchylający się od ciężaru życia i przeżywający je w nastroju minorowym, starają się

znaleźć jakąś sztuczną podporę, ułatwiającą im walkę z trudnościami życiowymi i wreszcie znajdują ją w narkotyku, tak samo ludzie o wyraźnie wzmocnionem samopoczuciu, hołdujący ideałowi hedonistycznemu i dążący do przeżywania życia w sposób wspaniały i niezwykły, często kończą swoją karierę życiową w zakładzie dla nałogowców.

Nie mniej ważną rolę w powstawaniu nałogu grają wszelkiego rodzaju usterki cielesne, jak np. specjalna brzydota i cechy dysplastyczne, które wyróżniają człowieka z reszty otoczenia w sposób niekorzystny. Charłactwo fizyczne, cechy różnopłciowe, kalectwo, choroby skórne, gruźlica, choroby serca, t. zw. choroby przemiany materji, schorzenia nerwowe, epilepsja, cykliczne zmiany samopoczucia, zaburzenia naczyniowo-ruchowe, zaburzenia systemu wegetatywnego, powodujące stałe i trudne do zniesienia niezadowolenie cielesne, nerwowe złe samopoczucie, neurasteniczny brak energii, uczucie stałego zmęczenia, dziedziczne obciążenie nałogami, epilepsją, psychopatjami, skłonnościami samobójczymi, wreszcie poważne wykołajenia życiowe, — to są wszystko te momenty, które mogą się stać punktem wyjścia nałogu, jako tego czynnika, który ma regulować i osłabiać stany złego samopoczucia, wynikające z wyżej przytoczonych schorzeń. Uczucie własnej małej wartości, niekiedy przedmiotowo zupełnie nie umotywowane, lub rozwijające się na tle wspomnianych wyżej niedowartościowości organicznych, jest również momentem mogącym wpłynąć w stopniu bardzo znacznym na rozwój nałogu.

Momenty zewnętrzne, a często wpływające na powstanie nałogu, możemy podzielić na: urazy i na wpływy wychowania w najszerszem tego słowa rozumieniu. Jest rzeczą znamioną, że urazy psychiczne o charakterze żywiolowym, wstrząsające osobowością psychiczną w sposób nagły i głęboki, nie mają wielkiego wpływu na powstawanie przyzwyczajania do odurzania się środkami narkotycznymi. Natomiast urazy o działaniu ciągłym, przewlekłym, składające się niejako z wielu drobnych urazów o następcości natrętnej, bardzo często dają się wykryć u podstawy nałogu, jako momenty określające przyczynowo jego powstanie. Do tej kategorii urazów możemy zaliczyć t. zw. „nieszczęśliwą miłość“, niezharmonizowane pożycie małżeńskie lub rodzinne, niepowodzenia w pracy zawodowej, jednym słowem te wszystkie przeżycia, odczuwane przez danego osobnika jako niekorzystne, którym właściwe są cechy natrętnej ciągłości. Tutaj należy wspomnieć o mechanicznych urazach czaszki, wstrząsach nerwowych i mózgowych, nagłych przełknięciach, które również mogą wywołać, lub przyspieszyć rozwój nałogu.

Wielkie znaczenie dla powstania nałogu ma wychowanie. Naturalnie nie mam tu jedynie na myśli tych instytucyj, które zawodowo zajmują się wychowywaniem. Wychowuje nie tylko dom, szkoła i kościół, ale wychowuje życie, wychowuje to wszystko co w życiu spotykamy, a co za naszą wiedzą i zgodą, lub bez naszej wiedzy i zgody, staje się częścią składową naszego ideału osobowości. W ramach, które dzisiejszy pogląd na wychowanie zakreśla metodom wychowawczym, nie mieści się osobowość dziecka i dlatego ideał tej osobowości tak rażąco odbiega od ideału, który chcielibyśmy urzeczywistnić. Jest rzeczą bardzo ciekawą, że dzieci pochodzące z rodzin abstynenckich rzadko kiedy

realizują w sobie ideał abstynenta ¹⁾). Dzieje się tak właśnie dlatego, że metody wychowawcze, które się wobec dziecka stosuje, nie oddziaływują na jego wyobraźnię, nie przemawiają do jego fermentującej, irracjonalistycznej duchowości. Wiemy doskonale, że typy ludzkie, na wzór których kształtuje się najczęściej ideał osobowości dziecięcej — a więc artyści, dzielni oficerowie, „zdobywcy kobiecych serc“, jednym słowem ludzie będący przeciwstawieniem typu przeciętnego „filistra“ — są w oczach dziecka ludźmi pijącymi dużo i często, tak, że wreszcie to picie staje się w młodzieńczym rozumieniu czymś organicznie związanem z obrazem dzielnego człowieka. W społeczeństwach dzisiejszych istnieje czynnik wychowawczy, który przeciwstawia się skutecznie takim nastawieniom. Mam tu na myśli harcerstwo, które, realizując w swoim programie wychowawczym ideał przedsiębiorczości, dzielności i męstwa życiowego, podkreśla z całym naciskiem konieczność zupełnego wstrzymania się od używania napojów alkoholowych.

Byłem raz świadkiem bardzo znamiennego wydarzenia. Na przyjęciu u moich znajomych, które miało uświetnić jakąś rodzinną uroczystość, podano do stołu butelkę szampana. Pili wszyscy oprócz mnie i jednego mego kolegi, również lekarza. W pewnym momencie podchodzi do nas synek państwa domu, siedmioletni harcerz i powiada tonem komicznej dumy: „ci niech sobie piją. My, abstynenci, nie jesteśmy tacy głupi i nie pijemy alkoholu“. To powiedzenie najwyraźniej świadczyło o tem, że w pojęciu tego chłopczyka abstynencja jest cechą właściwą ludziom dzielnym i niezwykłym, do których on chciałby być podobny. Ci, którzy piją, to są właśnie nudni „filistrzy“, ludzie przeciętni i nieciekawi, których niewarto naśladować. Na tym przykładzie widzimy, jak racjonalne, liczące się z indywidualnością dziecka wychowanie, może przyczynić się do stworzenia w nim pozytywnie korzystnego ideału osobowości.

Wybuch nałogu następuje przy współdziałaniu obu czynników: wewnątrz i zewnątrzpo pochodnego.

Każdy z nas ma niewątpliwie w swoim najbliższem otoczeniu kil-

¹⁾ Sądźmy jednak, że środowisko rodzinne, obyczaj w niem panujący, mają mogąć wpływ bardzo wielki i w m a s i e decydujący. Liczby zebrane przez Oddział Statystyczno-Epidemiologiczny Państwowej Szkoły Higieny (kierownik p. dr. M. Kacprzak), a ogłoszone w pracy p. Adamowiczowej p. t. „Ze studjów nad alkoholizmem wśród dzieci“ (Warszawa, 1928 r.) potwierdzają nasze mniemanie: „Dane ze wszystkich miejscowości, w których przeprowadzona była przez nas ankieta, (która objęła razem 11,537 dzieci) i dane dawniejszych ankiet, stwierdzają, że dziecko otrzymuje chrzest alkoholowy w rodzinie, że przeważnie alkoholizuje się z woli, zgodą, a nawet namową, zachętą, naciskiem ze strony rodziców. Niezmiernie wymowne pod tym względem są liczby zebrane w powiecie Skierniewickim. Okazało się, że u rodziców nieużywających napojów alkoholowych 98% dzieci nie pije wcale i tylko 2% używa alkoholu czasem. U rodziców pijących c z a s e m, już tylko 37% dzieci nie pije zupełnie, natomiast 63% pije czasem. U rodziców pijących często za ledwie 18% dzieci nie pije wcale, 31% dzieci pije stale, 49% pije czasem i 2% dzieci upija się“ (str. 14). Korelacja alkoholizmu rodziców i dzieci widoczna. Stwierdzają to inni autorowie, jak np. poseł dr. Brokowski w Wilnie, dyrektor Hrabin (na Śląsku w stosunku do alkoholu i eteru), dyrektor Piotr Dobrowolski i inni. (Przyp. Red.).

ku ludzi, lub choćby jednego człowieka, za którego jest do pewnego stopnia odpowiedzialny. Każdy z nas, zdając sobie sprawę z tej odpowiedzialności i wiedząc, jakie momenty mogą wpłynąć na powstanie nałogu, musi jednocześnie wiedzieć, jak można się temu zjawisku przeciwstawić, w jaki sposób można nie dopuścić do zagłady bliskiego sobie człowieka. Szczegółowej odpowiedzi na to pytanie niepodobna udzielić w szczyptych ramach jednego wykładu. Można jedynie w formie najogólniejszej wskazać na te momenty, które sprzyjają rozwijaniu się duchowych anomalij, i na te sposoby zaradcze, które istniejące już odchylenia mogą odpowiednio korygować, albo wprzęgać je drogą kompensacji w system pracy, realizujący zadania pozytywnie korzystne. Wykorzystywanie niesprzyjających warunków wewnętrznych, czy zewnętrznych w celu stwarzania podmiotowo i przedmiotowo wartościowych idei nadrzędnych, może w znacznym stopniu podnieść samopoczucie człowieka i dzięki temu przyczynić się do zmniejszenia niebezpieczeństwa poddania się nałogowi.

Jest rzeczą poprostu zdumiewającą, że w tem zbiorowisku najróżnorodniejszych wiadomości z wszelkich możliwych dziedzin, jakim jest mózg przeciętnego inteligenta, nie ma ani odrobiny miejsca dla zagadnienia tak niewątpliwie ważnego, jakim jest znajomość praw, którymi rządzi się dusza ludzka. Bez tej podstawowej znajomości nie podobna sobie wyobrazić możliwości racjonalnego wpływania i rozpoznawania momentów, determinujących wybuch nałogu, o których wyżej mówiłem, i dlatego zasadniczym warunkiem zdolności oceniania przez laika symptomów nadchodzącej choroby, jest popularyzowanie wiedzy psychiatrycznej. Popularyzacja tej bardzo ekskluzywnej nauki, przez społeczeństwo traktowanej z wyraźną niechęcią, może dać rezultaty zachęcające. Myślę tu w pierwszym rzędzie o higjienie psychicznej, nauce tak mało znanej, a przynajmniej tak samo ważnej, jak higjena somatyczna (cielesna).

Higjena psychiczna jest poprostu praktycznym zastosowaniem wiedzy psychiatrycznej i psychologicznej wogóle, w celu zapobiegania chorobom umysłu. O ile pojęcie choroby umysłowej rozszerzymy na wszelkie postacie zaburzeń równowagi wewnętrznej, nawet takie, którym powszechnie nie przypisuje się cech chorobowych, będziemy mogli powiedzieć, że higjena psychiczna jest nauką, zajmującą się sposobami zapobiegania nieprawidłowościom życia psychicznego, poczynając od najdrobniejszych, a kończąc na ciężkich postaciach psychotycznych. A ponieważ wiemy, że nałóg nie jest jedynie skutkiem wpływów zewnętrznych, związanych z wadliwym wychowaniem i stosunkami obyczajowemi, że zawsze łączy się przyczynowo z usterkami życia duchowego, rozumiemy, jak olbrzymie znaczenie profilaktyczne może mieć stosowanie zasad higjiny psychicznej w stosunku do ludzi, którym brak stabilizacji wewnętrznej grozi powstaniem przyzwyczajenia do przewlekłego zatruwania się środkami odurzającymi.

Na pytanie, w jaki sposób higjena psychiczna może być stosowana w codziennem życiu, również niepodobna wyczerpująco odpowiedzieć w ramach jednego wykładu. Zważając zagadnienie do spraw podstawowych, można podać takie sformułowanie: higjena umysłu, mając na celu zapobieganie zaburzeniom psychicznym i utrwalanie wewnątrz-

nej harmonji w duszy człowieka, dąży do tego drogą ułatwienia mu wyżycia zasadniczych popędów w ramach ustanowionych przez normy prawne, obowiązujące w danej zbiorowości. W takim sformułowaniu jest podkreślona wielka plastyczność tej nauki, dla której jedynym dogmatem jest zrozumienie konieczności realizowania przez jednostkę najsilniejszych popędów osobowości, z tem zastrzeżeniem, że nie mogą one przybierać form asocjalnych. Stąd wynikałoby, że higjena psychiczna jest poprostu nauką metodą, umożliwiającą człowiekowi osiągnięcie maksimum osobistego szczęścia. A wiemy, że człowiek szczęśliwy nigdy nie zostaje nałogowcem.

Moment racjonalnego kompromisu jest swoistą cechą higjenu psychicznej, jako metody naukowej, stosowanej praktycznie. Dzięki niemu istnieje możliwość osiągnięcia tego, co nazywamy szczęściem, a co może być uważane za wypadkową dwu ścierających się sił: natury i kultury. Weźmy konkretny przypadek. Człowiek zdradza wybitnie zarysowane instynkty władcze, nie ma jednak możliwości realizowania ich na terenie swojego życia. Taki stan rzeczy musi doprowadzić do wytworzenia silnych napięć, odczuwanych przez danego osobnika, jako coś bardzo przykrego. Napięcia te z biegiem czasu mogą się stać czemś tak nieznośnym, że szukają wyładowania albo w czynach społecznych, albo w sytuacjach fikcyjnych, wyimaginowanych pod wpływem narkotyku. Powstaje typ człowieka nieszczęśliwego i unieszczęśliwiającego innych, postać tyrana domowego, opisywana tak często w literaturze pięknej i w kronikach sądowych, albo wykolejonego nałogowca, który żyje na terenie fikcji, stwarzanej w momentach zamroczenia alkoholem, lub w stanach błogiej szczęśliwości przy zatruciu morfiną. A jednak, o ile te stany wewnętrznego niezadowolenia, spowodowane niemożnością wyżycia nurtujących człowieka popędów, zostaną przez otoczenie w porę zauważone, o ile dzięki namowie i perswazji najbliższych zwróci się on do lekarza psychohigjenisty, który wskaże mu sposoby skierowania popędów na drogę pozytywnie korzystną z osobniczego i społecznego punktu widzenia, nastąpi wyładowanie przykrych napięć, równowaga wewnętrzna zostanie przywrócona i człowiek, niedawno jeszcze tak bliski zakładu leczniczego lub innej życiowej katastrofy, zostanie przywrócony normalnemu życiu. Oczywiście, w praktyce ta sprawa nie przedstawia się tak prosto; istnieje zawsze mnóstwo czynników ubocznych, ogromnie utrudniających pracę lekarza psychohigjenisty i pracę samego pacjenta nad sobą, jednak pozytywnie korzystne wyniki takiej terapii nie dadzą się niczem zakwestjonować.

Reasumując powyższe wywody, możemy stwierdzić: walka z alkoholizmem i innymi narkomanjami będzie dawała o wiele lepsze rezultaty, o ile nauczymy się wcześniej rozpoznawać te destrukcyjne wpływy, które mogą spowodować wybuch nałogu. Możemy się tego nauczyć dopiero wówczas, gdy pewne ogólne zasady i wskazania wiedzy psychiatrycznej będą znane szerokiemu ogółowi. Wczesne rozpoznawanie momentów sprzyjających rozwojowi nałogu i wczesne skierowywanie konkretnych przypadków do lekarza specjalisty, może przyczynić się w znacznym stopniu do zmniejszenia alkoholizmu i do zwiększenia liczby uleceń. Jednocześnie musimy zwracać baczną uwagę na formy naszego życia społeczno-obyczajowego, które nas wychowuje i wpływa na wy-

tworzenie ideału naszej osobowości i ideału osobowości nadchodzącego pokolenia. Musimy starać się przekształcić te formy w myśl tych idei nadrzędnych, które określają osobowość każdego abstynenta.

Świack.

Dr. Henryk Zajączkowski.

KRASICKI O ALKOHOLIZMIE.

Referat, wygłoszony dn. 30.V. 1935 r. na Zjeździe Delegatów Kół Tow. „Trzeźwość“ w Warszawie.

Podczas zbliżających się Zielonych Świąt odbędzie się we Lwowie Zjazd Naukowy im. Ignacego Krasickiego — w ten sposób Polska kulturalna uczei rocznicę 200-lecia urodzin Ignacego Krasickiego. Ale nie tylko Polska, gdyż w Zjeździe wezmą udział uczeni zagraniczni: francuscy, sowieccy, czescy, jugosłowiańscy.

Umysł Księcia poetów polskich odznaczał się ogromną wszechstronnością — interesował się on szerokim zakresem zagadnień społecznych, moralnych, historycznych.

Siłą talentu swego i dzięki tej wszechstronności Krasicki zajął, jako pisarz, w przełomowej epoce, w której żył, stanowisko wyjątkowe, dominujące.

Epoka była i wielka i tragiczna — epoka odrodzenia i upadku, podczas której wystąpiła niemała plejada talentów pisarskich — na czele ich stanął Krasicki.

Dokonywały się wielkie przemiany i reformy, a społeczeństwo ze szczególną „nieufnością odnosiło się do wszystkich nowatorów“¹⁾.

I jeżeli w stosunkowo krótkim przeciągu czasu nastąpiły wówczas ogromne przeobrażenia w dziedzinie zapatrywań — to pamiętać należy, że może największą zasługę położył w tej dziedzinie Ignacy Krasicki.

Był on, jak pisał Kraszewski²⁾, „pierwszy po wiekach, którego głosu słuchały chciwie tłumy, który był popularny, ukochany i uznany“. To też pisma jego, pochłaniane przez ogół czytający, najsilniej torowały drogi reformom społecznym, politycznym, a co najważniejsza i najtrudniejsza — obyczajowym.

Jego satyra, jego subtelna ironja więcej zdziałały, niż dziesiątki i setki mów politycznych i rozpraw teoretycznych.

Głosił Książę Biskup Warmiński, późniejszy Prymas, *żywe słowo*, które rozbijało grube i zaśniedziałe mury ciemnoty i wstecznictwa obyczajowego. Krasicki z niezwykłą siłą uderzał w zepsucie obyczajów, które, jak słusznie mówi Kraszewski, było najsilniejszą przyczyną upadku Polski.

Krasicki w swej niezmiernie żywej działalności pisarskiej „walczył o wyższą formę kultury polskiej“. Kto zaś walczył z zepsuciem oby-

¹⁾ Bronisław Gubrynowicz: „Na marginesie „Monitora“ — Przyczynek do dziejów czasopiśmiennictwa polskiego w XVIII wieku“.

²⁾ J. I. Kraszewski. — Krasicki. Życie i Dzieła. Kartka z dziejów literatury XVIII wieku przez... Warszawa, 1879. Str. 368.

³⁾ Zofja Gąsiorowska w przypiskach do „Monachmachji“.

czajów, kto dążył do „wyższych form kultury“, ten nie mógł, będąc baczny obserwatozem życia swego narodu, nie zauważyć ujemnego, rozkładowego znaczenia pijaństwa w życiu Polski.

I istotnie zagadnieniu temu Krasicki dużo w swych utworach poświęcił uwagi. Był on jednym z tych nielicznych pisarzy polskich, którzy w swej działalności artystycznej z całą świadomością, celowo, stale, z dużą dozą odwagi cywilnej, a chwilami z rzadko spotykaną u niego siłą, jędrnością słowa, wtykał swoim współczesnym wszystkie złe strony, ohydę i niebezpieczeństwa pijaństwa.

Zgodnie z pojęciami wieku i własnem usposobieniem — Krasicki był przeciwnikiem *pijaństwa*, a zwolennikiem *umiarkowania*; ale siła, wytrwałość i konsekwencja uderzeń jego w twierdzą tradycyę pijackich były tak wielkie, że przyczynił się On w sposób poważny do znacznego opamiętania w dziedzinie *obyczajowości* pijackiej.

Brak czasu nie pozwala na szczegółową analizę poglądów Krasickiego na obchodzące nas zagadnienie.

By sobie ułatwić zadanie, a zarazem uwypuklić zasadnicze w tej mierze poglądy Krasickiego — oddajemy głos Autorowi.

Już w pierwszym, oddzielnie drukowanym utworze — *Myszeidzie* (r. 1775) — Krasicki silnie, a jak na niego niezmiernie silnie, mówi o tragicznych skutkach alkoholizmu niektórych królów naszych.

A utwór ten miał szczególny wpływ — „Takiej lekkości, zręczności i wdzięku, jakie widzimy w stylu i wierszu w *Myszeidzie*, nie spotykano w żadnym większym utworze poetycznym polskim przed Krasickim“ (Prof. Kazimierz Król w przedmowie do *Myszeidy*).

VII.

„Trunkiem się wielkie dusze upodlały;
Leszków i Mieszków on na złe przemienił;
Bolesław, z męstwa okrzykniony śmiały,
Miodem kijowskim cnoty wykorzenił;
Poległ na uczie Przemysław wspaniały,
Gdy się w Rogoźnie do kufla nie lenił;
Kazimierz Wielki, a przecie kwaterką
Łykał miód smaczny w Łobzowie z Esterką.

VIII.

Olbracht w Krakowie berdyszem raniony,
Gdy się pijany uwijał po rynku;
Stefan, ów Stefan dziełami wsławiony
Połknął śmierć w Grodnie z ustawnego szynku;
I nasz Władysław, słusznie uwielbiony,
Przecież podagry dostał w upominku.
Každy w pijaństwie dziwne rzeczy broił.
August zaś Polskę do reszty rozpoił“.

Ustęp ten świadczy o głębokim zrozumieniu przez Autora fatalnych skutków obyczajów alkoholowych nawet na losy państwa.

Z „pijaństwa“: „zwady, obmowy nieprzystojne rosną;
Pamięć się przez nie traci, rozumu użycie,
Zdrowie się nadweręża i ukraca życie“...

(Satyra VI).

„Trzeźwość była zaszczytem i starców i młodzi,
Z nią mężność, trwałość, praca i cierpliwość rosła
Z niemi po krajach sława nasza się rozniosła,
Z niemi byliśmy straszni, możni i szczęśliwi“.

(Z „Listów“)

i dodaje: „Czyż się kiedy trunkami narody wzmacniały?“

W ustach zwolennika „mierności“ — zdania i myśli niezmiernie znamienne. Intuicja poety, zmysł obserwatora wyprzedzały tu swój wiek.

Bardzo trafnie pisał o Krasickim prof. Wojciechowski*).

„Krasicki na widok klęsk chciał w nas wyrobić świadomość, że „z nas się złe zaczęło“, ale rozpacz nie pozwalała, bo rozpacz jest udziałem „nikczemnych“, „cudzym w łup“ oddały nas nierząd, niekarność, rozpusta, zbytki, lecz wszystko jest jeszcze do odrobienia pod jednym warunkiem: odmieńmy obyczaje“. Kiedy inni trudzili się nad reformą stosunków społecznych w Polsce, inni nad zapewnieniem jej lepszych warunków politycznych — Krasicki, ten uśmiechnięty, wytworny, na pozór obojętny Krasicki — przejrzał najlepiej środki wiodące do ocalenia narodu — rozpoczął bowiem pracę nad odrodzeniem jego moralnem“. — Znakomitą część tej pracy stanowiła walka z pijaństwem.

„W Krasickim, jak powiedział prof. Tretiak¹⁾, wcieliło się dążenie narodu z długiej grobowej ciemnoty do światła“. I oto, co czytamy w „Panu Podstolim“, tej, niestety, niedokończonej pracy: „Do dobrego wychowania dzieci istotnie potrzebny jest przykład rodziców, z tego powodu starałem się, ile możliwości, wykorzenić w poddanych moich zastarzały nałóg pijaństwa“.

„Panów niebacznosc na niewstrzeźmięzliwość poddanych zakłada u nas najznacniejszą część intraty. Trzyma pan na siebie szynk karzemny, albo go w arendę puszcza: żeby zaś jak najwięcej mógł zyskać — ledwo do tego nie przychodzi, iż chłopom za pańszczyznę upijać się każe. Prawda, iż gdyby chłopie nie pili, zmniejszyłby się szynk, ale niech się panowie nad tem zastanowić raczą, iż zysk, ze złych akcji pochodzący — nieprawdy, iż, dając sposobność do pijaństwa, niszczą poddanych; iż, stając się zabójcami ludzi do siebie należących, grzeszą przeciw ojczyźnie, która najpierwszą ich Panią“.

Tu już zapomina się o „wytwornym“ Krasickim, a wydaje się, że słyszymy silny i stanowczy głos Staszica... I ciągnie Krasicki dalej: „To, coby się stracić mogło... gdyby chłopie byli wstrzeźmięzliwi, zyska

*) Ignacy Krasicki. Życie i Dzieła. Napisał Konstanty Wojciechowski. Lwów, 1914. Str. 144+2 nl.

¹⁾ Józef Tretiak. — „Ignacy Krasicki. Charakterystyka w ramach szkicu biograficznego“.

się na czynszu... na dobrej uprawie roli, zyska na tysiącnych innych okolicznościach“.

Jakież to dziwnie aktualne myśli, jakżeż wiele te słowa mówią nam dzisiaj po tylu, tylu latach od ich napisania.

Nic w tem niema dziwnego; klęska pijaństwa, gnębiąca Polskę pańszczyźnianą — dotrwała poprzez upadek, niewolę i odrodzenie Państwa do dnia dzisiejszego w całej pełni... zmieniły się tylko nazwy: wówczas — za Krasickiego panowała „propinacja“, obecnie — monopol spirytusowy. Istota rzeczy niezmieniona, choć tyle innych uległo odmianie, lub zanikowi...

I gdy mowa o aktualności Krasickiego — odczuwamy ją często i niesłychanie silnie, właśnie przy omawianiu jego stosunku do zagadnienia alkoholizmu.

Oto naprzykład Autor w jednym ze swych „Listów“, przestrzegając przed nadmiernem piciem, bo kto dużo pije — nazajutrz na głowę choruje, rzuca uwagę: „*a dobre głowy trzeba oszczędzać*“.

Niestety, tej „oszczędności dobrych głów“ polacy dotychczas nie rozumieją i rozumieć nie chcą! Albo następujące uwagi Krasickiego jakżeż są i trafne, i aktualne:

„Ci, którzy zasadzeni na źle aplikowanej do swoich nałogów Pisma Bożego maxymie: iż wino rozwesela serca ludzkie, biorą stąd konsekwencję: iż rozweselić się jest jedno, co się upić i rozum stracić — mylą się“ („Monitor“ r. 1772).

„Upić się tym jest większa praca, ile że pijaństwo i na drugi dzień zdaje się przechodzić, *czyniąc niesposobnym*“ („Monitor“ j. w.).

Mamy tu obserwację, której treść potwierdziła nauka w mniej więcej sto lat później, stwierdzając „następcze działanie alkoholu“.

W tymże „Monitorze“ pisał Krasicki (str. 214): „Zbytek stołów naszych oprócz tego, iż wydatki mnoży, zaraża temperament biesiadujących tak dalece, iż ilekroć zdarzyło mi się patrzeć (a zdarzało się to Autorowi często) na obficie zastawione stoły, zdawało mi się zaraz jakobym widział uwijające się pomiędzy półmiski i flaszki podagrę z chiragrą, malignę z żółtaczką, suchoty z puchliną. Godne wprowadzie wety niewstrzymałości i obżarstwa naszego“... „Natura prostym najbardziej się kontentuje pokarmem; zwierzęta wszystkie na jednym trunku przestają, szkodzącemi pokarmy brzydzą się i nigdy u nich *chęć* — *potrzeby* nie zwyciężyła“... I dodaje: „maksymy wstrzemięźliwości i reguły nie są trudne, lubo się zdają poniekąd przykre nieprzyzwyczajonym“.

Zakorzeniony po dziś dzień pogląd głów ciasnych, utożsamiających „picie“ z „patryjotyzmem“ — wyśmiał Krasicki, wkładając w usta ojca Doświadczyńskiego, cierpiącego na „pedogrę“ z pijaństwa — następujący okrzyk: „O! jak słodko jest cierpieć dla ukochanej Ojczyzny“ — i słusznie jeden z komentatorów Krasickiego pyta się: „czy francuz, lub niemiec z upijania się cierpiący, może coś podobnie zabawnego powiedzieć?“

Nie omawiamy w tym krótkim odczycie słynnej satyry VI — „Pijaństwo“, ani arcydzieła, jakim jest „Monachomachja“ wraz z „Antimonachomachją“, a czynimy tak dlatego, że te utwory są powszechnie znane i dokładnie i wielokrotnie omawiane; nam zaś chodziło o rzucenie w krótkim zarysie *ogólnego obrazu stosunku Krasickiego do zagadnie-*

nia pijaństwa. Chcieliśmy wykazać, że satyra VI i Monachomachja nie były w twórczości Krasickiego czemś oderwanem, przypadkowym, ale wynikiem głębokiego stosunku Autora ich do sprawy alkoholizmu wogóle i dlatego ten moment staraliśmy się w tym odczycie uwydatnić.

Satyra o pijaństwie, Monachomachja i Antimonachomachja w świetny sposób potwierdzają myśl, że Krasicki w pijaństwie widział jedną z głównych przyczyn upadku obyczajów w Polsce, a przez to i upadku samej Polski i że dlatego właśnie raz po raz wracał do tego tematu w innych swych pismach. Nie dawał mu on spokoju. Tępota zalcoholizowanego środowiska rozpitych mnichów — to obraz — chwilami może nieco karykaturalny, *całej ówczesnej Polski* posiadającej, hułaszczej, pijackiej i bezmyślnej. Tak też zdaje się (za nielicznymi wyjątkami) zrozumiał „Monachomachję“ współczesny ogół czytający.

Zagadnienie „pijaństwa“, tak głęboką troską napelniające Księcia Biskupa Warmińskiego — istnieje i w chwili obecnej w całej swej nieszczęsnej okazałości; znikło od czasów Krasickiego poddaństwo, znikli z ziem polskich zaborcy, ale pijaństwo pozostało i, jak wówczas, otoczone pancierzem głupoty, usankcjonowane przez specjalne ustawy państwowe. „Panów niebaczność“ w tej dziedzinie trwa, niebezpieczna i groźna, jak wówczas — w końcu w. XVIII, jak wówczas smutne odnośząca tryumfy.

I dlatego Krasicki wytrwale walczący z klęską pijaństwa jest tak dla nas współczesny, bliski i nieoceniony

*

Jesteśmy obecnie w tak wyjątkowym położeniu, jak to pokolenie, które urodziło się w Polsce wolnej, a przeżyło tragedję upadku i rozbiorów i życie swe zakończyło w niewoli; byli to ludzie, którzy dotykali się niemal fizycznie tradycji sławy i potęgi wielkiego mocarstwa, którzy byli jeszcze wolnymi obywatelami Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, a stali się niewolnikami, helotami, parjasami we własnym kraju, na własnej ziemi.

Następne pokolenia przychodziły na świat już „zrodzone w niewoli“, „okute w powiciu“, czasem nawet bez tęsknoty do wolności, „tak wdrożone do cierpliwie i długo noszonej obroży“, że w końcu „gotowe były kasać rękę, co ją targa“.

I oto doczekało się nasze pokolenie cudownej przemiany: z niewolników, helotów, parjasów bez imienia — nazwiska — staliśmy się obywatelami wielkiego państwa — Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Podobieństwo w wielkości i doniosłości skali przemian niesłychane i uderzające.

Po katastrofie upadku długo pamiętano wolność utraconą — my zaś obecnie jesteśmy świadkami zjawiska wręcz odmiennego: niezmiernie szybkiego zapominania beznadziejnie ciężkiego pasma lat poniżenia i niewoli.

Można twierdzić, że to objaw normalny organizmu zdrowego, że tak przemawia instynkt samozachowawczy; niestety, równie dobrze może to być objawem *lekkomyślności*.

Okres miniony dziejów naszych, których przebiegu w ostatnim etapie byliśmy naoczniymi świadkami i aktorami można wyobrazić jako łuk wielki, przerzucony nad przepaścią; jeden jego przyczółek — to

schyłek w. XVIII, drugi — lata odzyskanej niepodległości do dni naszych (trwa jeszcze) — a dzieje Polski w zaborach, to ten łuk nad otchłanią zatracenia...

Brak pamięci historycznej jest wielką naszą wadą narodową, tem niebezpieczniejszą, że odpowiedzialność za przyszłe dzieje na nas spada wyłącznie i na nas ciąży jedynie...

Trudno było schyłkowcom w. XVIII zapomnieć sławy minionej, nie czynów nawet, nie myśli; ale z jakżeż niesłychaną lekkomyślnością zapominamy nauki wypływające z przeżyć, doświadczeń z epoki niewoli i stałego pasma klęsk.

Nie chce nasze ucho słuchać odgłosów ponurego brzęku kajdan, pamięć nie chce wywoływać obrazów walk beznadziejnych i zatraceni niebytu...

Wolimy być i trwać bez tego ciężaru strasznych stygmatów upadku.

Wolimy żyć beztrosko, bawić się bez pamięci, panować i rządzić...

Ale jakież związanie może to wszystko mieć z tematem odczytu — z poglądami na alkoholizm Księcia Biskupa Warmińskiego?

Wydaje się nam, że ma i to dużo.

Urodzony w Polsce niepodległej w rodzinie znacznej, zmarł w niewoli i to najniebezpieczniejszej, bo pruskiej. Urodził się, żył i zmarł... to nic, to los niezliczonych milionów... ale ten człowiek wielkiego talentu, głębokiej myśli, bystry, przenikliwy obserwator, wytrawny znawca charakterów ludzkich, wszechstronny erudyta, pisarz o ogólnoeuropejskich perspektywach, wyborny badacz dziejów, a nadewszystko poeta — czasów swoich najwybitniejszy — długie lata strawił nad dociekaniem i rozwikłaniem pytania, które dręczyło wszystkich ludzi myślących tej epoki, tak brzemiennej w wypadki: jakie przyczyny doprowadziły naród polski do takiego bezwładu myśli i zaniku woli, że skończyło się tak straszliwą i bezprzykładną niemal tragedją upadku?

Pytanie to męczyło z nieustanną natarczywością wszystkich ludzi myślących za czasów niewoli — teraz zastanawiają się nad niem chyba tylko nieliczne jednostki.

W polyskach wolności, w blaskach niepodległości, w świetności suwerennej i mocarstwowej — tylko garść ludzi zastanawia się nad pytaniem, co czynić, aby potęga własnego mroku i przemocy obcej nie pochłonęły nas znowu, aby podstawa budowy społecznej narodu — charakterzy ludzkie mocne były, wytrwałe i hartowne?

To trudne, arcytrudne zadanie mamy w znaczny sposób ułatwione, niemal rozwiązane. Oto możemy korzystać z ofiarnego i zaiste krwawego trudu myśli szeregu wielkich synów Ojczyzny, którzy, z tamtego brzegu przepaści wpatrzeni w nieznaną, zagadkową, a tak beznadziejnie mroczną przyszłość — zagłębiali się w istotę duszy narodowej, aby dostrzec, wykryć i wydobyć z niej podstawowe składniki i jej siły i jej niemoicy.

Badawczy trud Ignacego Krasickiego ma dla nas tę nieocenioną wartość, że umysłowość jego była dziwnie zrównoważona, opanowana i spokojna — warunek idealny dla tego, co usiłuje poznać samego siebie, t. j. podejmuje się, jak wiemy, najtrudniejszego zadania. Wynikiem dociekań Krasickiego były dwa wielkie zadania, ściśle ze sobą zespolone,

które postawił przed narodem i przed sobą: poprawa obyczajów i rozpowszechnienie oświaty — w tym programie, którego wypełnieniu oddał całe pracowite życie, zwalczanie pijaństwa zajęło jedno z miejsc naczelnych i najistotniejszych.

Przed wielkim reformatorem obyczajów, przed hojnym siewcą oświaty schylamy ze czcią czoła w 200-setletnią rocznicę Jego urodzin.

Jan Szymański.

„POPIELISKO“ — POWIEŚĆ ZOFJI HERWICHOWEJ.

Za tło powieści służy życie dwojga młodych ludzi, Anki i Włodka, którzy mieli wiele danych, żeby życie przeżyć szczęśliwie i pogodnie, a oto alkohol zburzył to życie, zniszczył je i spalił, tak, że zostały tylko zgłiszcza i popielisko. A tak się to życie złożyło, tak się zagmatwało i skrzywiło, że smutek ogarnia, czytającego tę smutną opowieść z życia tych dwojga — a szczególnie Anki.

Wszak mieli, zdaje się, wszystko: młodość, szczerą i gorącą miłość, wzajemny szacunek, inteligencję i wcale dostatni kawałek chleba. Zły nałóg pijaństwa Włodzimierza Sumińskiego zniszczył to wszystko i spopielił. Z bohaterką powieści, Anką, zapoznajemy się w drodze z Warszawy do Lubomla. Anka niema już rodziców, na kolej odprowadza ją ciotka. W wagonie poznaje młodego studenta medycyny, który rad popija koniak, pomimo tego, że jest chory na piersi i że krztusi się i kaszle po każdym łyku mocnego trunku. Ale mimo to młody człowiek nadrabia miną i twierdzi, że on, jako student medycyny, wie, że mu to nie szkodzi. Widocznie ten student mało, a może i nic nie wie o szkodliwości trucizny alkoholowej, — zresztą, z tą postacią już się więcej nie spotykamy. Anka jedzie do stryjostwa pp. Niesiekierskich w Konarzycach. W tej podróży, ponieważ z Lubomla do Konarzc jest 40 wiorst, przeto p. Niesiekierski uprosił swojego przyjaciela p. Witolda Narzymskiego, mieszkającego o parę wiorst od stacji kolejowej, aby po jego krewną do kolei wyjechał, przenocował u siebie, a już później on przyszele po nią konie. Już jadąc koleją niedoświadczona p. Anka wysiada o stację zawczasem i ledwo że przy pomocy kolejarza wsiada do wagonu trzeciej klasy już uruchomionego pociągu. W trzeciej klasie jedzie lud, prości ludzie, Wołyniacy. Ciasno tam, duszno, powietrze przesycone machorką, podpity chłop śpiewa: „Za Marusiu rubla daw, bo Marusiu spodobaw“, drugi gra na harmonji, reszta, gdzie i jak może, śpi. Tak dojeżdża p. Anka do Lubomla. Noc, ciemno, ale pan Narzymski już czeka, sadza p. Ankę do powozu i jadą do Różewa, majątku p. Witolda Narzymskiego. P. Anka zdrożona, usnęła w powozie i tak przyjechała do Różewa. Tam, na noclegu dziwnie zdenerwowana usypia, niezgasiwszy świecy, co powoduje zatlenie się stołu. Rano pan Narzymski zmuszony jest jechać do lasu, Anka od służącej Uliny dowiaduje się, że o mało nie wznieciła pożaru. Ponieważ konie od stryjostwa z Konarzc nadeszły, coprędzej jedzie, nie zobaczywszy się z gospodarzem i będąc pewna, że to człowiek starszy. Tymczasem p. Witold Narzymski jest młodym 25-letnim człowiekiem, zamożnym i samodzielnym oraz wykształconym

właścicielem dużego majątku, samotnym, gdyż niedawno stracił ojca, którego kochał, przeto jest smutny, a w smutku znajduje pociechę w książkach — na szczęście — no i czasem — w kieliszku. Gdyby p. Anka nie wyjechała z Różewa, gdyby była doczekała przyjazdu gospodarza, gdyby się z nim zapoznała — kto wie, czy jej losy nie potoczyłyby się inną drogą. Ale, że się stało inaczej, przeto i losy p. Anki inną poszły drogą. Już u stryjostwa w Konarzycach Anka otrzymała depeszę od przyjaciółki Marty, depeszę wysłaną, ot, tak, z dziewczęcej pustoty, na wszelki wypadek: „Jest posada“. A przed samym odjazdem list od młodego studenta Włodzimierza Sumińskiego. List ten zdecydował o jej przyszłości. Po przyjeździe do Warszawy, Anka zamieszkała przy rodzinie, to jest u staruszki, utrzymującej dwu studentów siostrzeńców, do których — że mieli duży pokój — przychodzili koledzy. A że to były czasy przedwojenne, przeto młodzież przygotowuje się do „sprawy“, czyli — poprostu — tworzy związek strzelecki, tworzy go tem bezpieczniej, że o piętro niżej mieszka „władza“, sam rewirowy. Więc zbiera się młodzież dla niepoznaki, Anka staje się fikcyjną właścicielką dużego pokoju, przechodzi małą nieprzyjemność z „władzą“, większą z władzami szkolnemi i zapoznaje się nadobrze z Włodkiem. Ten Włodek jest wesoły kawalarz, lubiany przez młodzież, za znajomością następuje miłość i z czasem następuje małżeństwo. Rozumie się, że Anka nie zwraca uwagi na to, że ojciec Włodka skłonny jest do kieliszka. Jakże drogo za to w przyszłości zapłaciła! Ale tymczasem są szczęśliwi, młodzi, a młodość i miłość to szczęście. A tymczasem rozszalała się wojna. I chociaż burza około nich szumiała, oni byli szczęśliwi. Wierzyli oboje i wierzyli szczerze, że to ich ciche szczęście tylko wojna lub śmierć zniszczyć może. Nie podejrzewali, a zwłaszcza Włodek, że we krwi swojej nosi swojego wroga, wroga dziedzicznego — pociąg do pijaństwa, pociąg do rozpusty i niezmiernie słabą wolę. A na to nieszczęście nie pomoże ani miłość, ani przywiązanie, ani honor, ani obowiązek, przekleństwo alkoholizmu wszczepione w krew, czycha jak przyczajony drapieżny zwierz i gdy raz wbije swoje kły w szyję ofiary, to już jej nie wypuści. „Boże, pozwól mi zachować moje szczęście!“ — woła przejęta widać złem przeczuciem Anka, zaczynając z Włodkiem wspólne życie. Ale tymczasem są szczęśliwi wzajemną miłością, chociaż niebo ich miłości już się chmurzyć zaczyna. Tą chmurą jest ojciec Włodka, pan lubiący wypić, któremu Włodek oddaje cały swój majątek, oboje zaś żyją z pracy Anki. A Włodek jest marzyciel, może nawet fantasta, marzy chorym mózgiem dziedzicznie obciążonego alkoholem człowieka podróże, wynalazki, sławę, pieniądze, dostatki, słowem pałace buduje w wyobraźni i na lodzie, nie chcąc widzieć dnia dzisiejszego, jego potrzeb, prac i obowiązków. Czy Włodek winien, czy jest odpowiedzialny? Pewnie, jeżeli będziemy go sądzili wedle czynów. Ale naprawdę, to jest ofiara dziedzicznego obciążenia alkoholowego. Tymczasem Włodek, umiłowany, wyróżniony, wybrany mąż Anki, mąż, co ma być przyjacielem, opiekunem, ozdobą i pięknem jej domu, brnie i upada coraz niżej na scenie swego życia, ponieważ już gra komedję dobrego męża. Zaczynają występować kobiety, najprzód pani Jadwisia, taki sobie „miły grzeszek“, jeżeli życie uważa się za zabawę; inaczej się ma ta sprawa, jeżeli życie bierze się poważnie. Taka pani Jadwisia jest łatwą. Jest to zmysłowa dziewczyna, któ-

ra najlepiej bawi się z żonatymi, ma na „żonkosiów“ specjalne sposoby, z których alkohol jest najpoważniejszy. Taka pani Jadwisia, a jest ich cały legjon, ma sobie za wielkie szczęście bałamucenie mężów; kawaler, nieżonaty, to szarak-zając, byle kto takiego długoucha upoluje, niema się czem pochwalić, ale „żonko“ i to jeszcze mąż młodej i miłowanej żony, to już gratka nielada. Odbić żonie męża, zbałamucić, usidlić, opełtać, zawojować, nieszczęśliwić, osierocić jej dzieci!—Oto co pisze o takich „Jadwisiach“ kobieta, pisarka dużej miary Marja Grossek-Korycka w książce „Świat Kobięcy“, str. 124: „Słyszałam taki okrutny gardłowy śmiech Messaliny, triumfujący, gdy żona słała telegram za telegramem, a mąż ani się ruszył, bo ona go od siebie nie puszczała... Siedziała z nim sam na sam w gabinecie z myślą, że tamta opuszczona tarza się po ziemi, rwie włosy i wyje z bólu... To jest dopiero samopoczucie swej potęgi w całej pełni!“ — Czy p. Jadwisia miała takie uczucia z przeżycia, jakie opisuje autorka „Świata Kobięcego“, nie wiemy. Ale to wiemy, że skutki jej romansu z Włodkiem dla Anki były te same, to jest ból i żal, że szczęście ich domu, ich domowego ogniska, ich miłości, runęło już, że w ten dom wiary w człowieka umiłowanego, wiary w jego miłość uderzył grom, i że go spalił i że na tem miejscu pozostały zgłiszczą i ruiny, które czasem staną się popieliskiem. A po romansie z Jadwisią Włodek przypadkowo nawiązuje romans z żoną starego męża, „doktorową“, kobietą z typu „wilczyc“. Ta rządzi się w stosunku do Włodka nie tylko chęcią zmysłowego użycia, ale i rabuje go, za rozpustę i zmysłowość starej samicy każe sobie drogo płacić, a jeżeli Włodek resztką samozachowawczego instynktu niezdarnie próbuje się bronić, ma ona na to niezawodny środek — alkohol; upaja Włodka do nieprzytomności i zmusza go do podpisania weksła, rabującego i grabiącego nie tylko pieniądze, ale i resztę honoru i człowieczeństwa, zabiera wszystko, wysysa z niego krew, upadła i demoralizuje. Do tego dochodzi, że zupełnie spodłony człowiek, pijak urzędujący z butelką w kieszeni, z której wciąż popija, zaplątanemu pod wpływem powyżej opisanych przeżyć z kobietami w trudności pieniężne, doradza fałszerstwo, podskrobywanie cyfr w księgach, czyli prowadzi go do zbrodni, i gdy znowuż Włodek resztką przytomności chce się bronić, podsuwa mu butelkę i dobija. Tak oto cegła po cegle niszczy „dom Anki“, jej dom, w którym zamieszkała z nim i w gruzy rozpada się jej szczęście i cierpi pani Anka i cierpi tem bardziej, że na drodze swojego życia i przez pryzmat swojego nieszczęścia widzi innych ludzi, inne stadła, gdzie niema nieszczęścia alkoholizmu, gdzie panuje zgoda, miłość, i wzajemny szacunek, gdzie niema tej strasznej codziennej obawy, że runie wszystko i że uratować się nie da nawet pozorów. A Włodek brnie coraz dalej, spada coraz niżej, choroba alkoholizmu niszczy go zupełnie i ani poświęcająca się miłość żony, ani przyjacielska pomoc pryncypała-przyjaciela, ani nawet systematyczne leczenie nic już uratować nie może, los jego już został przesądzony i Włodek ginie bez ratunku. A ludzie powiedzą, że go jakiś demon opanował. Tymczasem nic podobnego się nie stało. Demonów niema, Włodek i miliony Włodków, to ofiary dziedziczności choroby, co się nazywa alkoholizm. We krwi Włodek miał tę chorobę, tę zarazę, o której sam nie wiedział, o której nie wiedziała Anka, o której

nie wiedzą miliony Anek czy Zoś, i które, jak ómy, spalają się w niebieskiem płomieniu ognia, spalonego spirytusu.

Powieść pani Zofji Herwichowej, powieść — że tak powiem—podpatrzona w życiu, ukazuje nam życie t. zw. sfer „inteligencckich“, życie, które — zwłaszcza po wojnie — ma bardzo wiele cech ujemnych, życie chore. W czasie wojny ludzie przeżyli wiele, w czasie wojny nawet to, co było występkiem lub zdrożnością w czasie pokoju, uzyskało dla siebie prawo obywatelstwa. Wartości zostały przewartościowane, nawet pogląd na picie, bo nawet na nadużycia, nawet na pijaństwo inaczej się teraz patrzy. Żołnierz pił dla brawury, przynajmniej tak mu się wydawało, pił nieraz z biedy, a nieraz z rozpacz; po wojnie, kto z niej wyniósł życie i niezupełnie zrujnowane zdrowie, wyniósł na nic już potargane nerwy i znieczulone zamarłe uczucia, oraz swoiste poglądy na etykę. Potrzeba wiele czasu i dobrej woli, równowagi i spokoju, aby odbudować materialnie i moralnie zniszczenia wojenne w obu tych dziedzinach. Pani Zofja Herwichowa opisuje życie inteligencji: Włodek w młodzieńczych latach należał do strzelców, na wojnie — jak widać z powieści — nie był, urodzony z ojca „trunkowego“, był obarczony dzie dzicznie. Jakkolwiek potoczyłoby się jego życie, to jednak choroba alkoholizmu i słabość woli ujawniłaby się napewno. Anka przedstawia typ zdrowego człowieka, typ niezmiernie dodatni kobiety miłującej, pracowitej i rządnej. I oto widzimy, że nawet taka kobieta, pomimo nadludzkich wysiłków, nie może nie tylko uratować męża, ale zatrzymać go na zgubnej drodze, po której kroczył.

Nasuwa się pytanie: kto był winien nieszczęściu Włodka i Anki? Ja sędzę, że zły ustrój społeczny, w którym wolno bezkarnie truc ludzi i wieść ich w pokuszenie i zgubę.

Książka p. Zofji Herwichowej, ze względu na jej szlachetną myśl, przede wszystkim zasługuje na wyróżnienie z tego rodzaju beletrystyk, zasługuje na wyróżnienie ze względu na talent Autorki i wysokie walory wychowawcze, które w powieści są przeprowadzone.

To też można, a i trzeba gorąco zalecić „Popielisko“ do jak najszerszego rozpowszechnienia wśród czytającej publiczności.

Tomasz Nocznicki.

NOWE PRAWO W SZWECJI.

Parlament szwedzki wydał nowe prawo, przyznające wszystkim obywatelom szwedzkim bez różnicy płci, po osiągnięciu wieku lat 60, emeryturę ze skarbu państwa w wysokości 250 koron miesięcznie. Jeżeli uwzględnimy kurs korony i siłę pokupu, odpowiadałoby to mniej więcej 300 złotym miesięcznie. Na pokrycie tego nowego wydatku przeznaczono wpływy z dodatkowego podatku od alkoholu, tytoniu i kawy.

Zabezpieczenie starości jest zwykłą troską każdego obywatela, w tym celu nieraz niedołączny już obywatel zatrzymuje w swoim posiadaniu majątek, a dorosłe i odpowiednio uzdolnione dzieci jego muszą o własnych siłach przebijać się przez życie, które niejednego łamie i spycha na drogę niewłaściwą.

Mądry prawodawca szwedzki nie przeląkł się tak wielkiego cięż-

ru, jakim jest powszechne zabezpieczenie starości, bo rozumiał, że tą drogą najskuteczniej i najprędzej podniesie produktywność krajową, młodzi wcześniej wezmą w swoje ręce bogactwa krajowe i skuteczniej oddziałają na ogólny dobrobyt.

Jednocześnie prawodawca szwedzki postanowił podnieść cenę alkoholu, tytoniu, a nawet i kawy (towar importowany), nie są to bowiem artykuły pierwszej potrzeby, szwedzki obywatel może i powinien bez nich się — obchodzić, rząd nie szuka dochodów z tych źródeł, przeciwnie, dąży szczerze do uzdrowienia swoich obywateli i opiera swoje dochody jedynie na wzbogaceniu się całego kraju i na dobrobycie poszczególnych jednostek.

Szwecja z natury i przyrodzenia nie jest krajem bogatym, do niedawna była krajem, wysyłającym liczne zastępy emigrantów, a jednocześnie konsumpcja alkoholu była w Szwecji bardzo wysoka. Obecnie, zawdzięczając umiejętnie i celowo prowadzonej walce z alkoholizmem i rozumnemu prawodawstwu, zmniejszyło się bardzo znacznie spożycie alkoholu, emigracja została zaniechana, a kraj z roku na rok staje się bogatszym i kulturalniejszym.

Czy Polska nie mogłaby skorzystać z doświadczeń tych naszych najbliższych (zawdzięczając Gdyni) sąsiadów?

Aleksander Iżycki.

Z DZIEJÓW OBYCZAJU W POLSCE.

Współczesna publicystyka skarży się często na silne kontrasty, występujące w naszym życiu społecznym. Zjawisko to nie jest bynajmniej czemś nowem i nie powinno nas dziwić, że młoda państwowość nie umie, a przede wszystkim nie może wyrównać przepaści międzyklasowych, po przeszło stuletniej niewoli, skoro w Polsce przedrozbiorowej było ono powszechnem i również jaskrawem. Obyczaje, będące uzewnętrznieniem głęboko tkwiących charakterologicznych cech i nastawień psychicznych, w zespole zjawisk społecznych, odgrywają rolę zawsze czynników wybitnie zachowawczych, konserwatywnych, nieufnych względem wszystkiego, co narusza ustaloną orjentację i znany bieg myśli. O tych to właśnie kontrastach, zwracających uwagę badaczy naszych dziejów, znajdujemy ciekawe spostrzeżenia i uogólnienia u Władysława Łozińskiego¹⁾.

Wytworny ten pisarz i sumienny znawca przeszłości rozsiał w swej pracy wiele sądów o niej, wykazujących całkowicie, podobieństwem swem do terażniejszości, ciągłość objawów, nad którymi tak boleśnie dziś medytujemy. Na ową łączność psychologiczno - obyczajową właśnie sam autor zwracał uwagę, kończąc swą pracę znamiennymi słowami: „nie byłoby to może niewdzięcznem zadaniem dla historycznego badacza-psychologa: wykazać, jak tej przeszłości jesteśmy już dalecy i jak jeszcze bliscy“.

Łoziński, opisując środowiska warstw uprzywilejowanych, zazna-

¹⁾ „Życie Polskie w dawnych Wiekach“ (wiek XVI — XVIII) przez Władysława Łozińskiego, wydanie drugie. Lwów. 1908 r. str. 246.

cza to, na co nieraz zwracałam uwagę: istniała przepaść między jednostkami przodującymi i warstwą kulturalną, a narodem, ostrzejsza i bardziej jaskrawa, niż miało to miejsce na Zachodzie i że apoteozowanie przeszłości szlacheckiej jest jedną z legend, z którą trzeba raz skończyć. Łoziński pisze: „Te wszystkie rozkoszne parki i pałace z drugiej połowy XVIII w., te wszystkie rezydencje wyliczone już przez nas poprzednio: Białystok, Łabuń, Słonim, Jabłonów, Wołczyn, Puławy i tyle innych, to już świat całkiem nowy, całkiem obcy, świat prawie improwizowany, odcięty od przeszłości, odcięty od społeczeństwa, odcięty nawet od domowych tradycji tych ludzi, którzy go stworzyli. Już i te wspaniałe zamki magnackie, które powstały w ostatnich latach XVI w. i w pierwszej połowie XVII w., nie wyrastały z siły, z kulturalnego gruntu społeczeństwa, nie wiązały się organicznie z swoim światem, ale przecież o tyle były mu bliższe i o tyle pożyteczne, o ile były zarazem obronne, o ile miały dwie racje bytu: praktyczną potrzeby i etyczną służby. Zbytekiem były owe bogate, złotem i srebrem nabijane zbroje szlachty polskiej, bo dość było na samym żelazie, ale w tych zbrojach bito się przecież i zwyciężano; zbytekiem była wspaniałość zamków magnackich, bo dość im było na samych basztach i wałach, ale te zamki stawiały przecież opór najeźdźcom i wytrzymywały oblężenia. Były niejako celem same sobie; nie było najczęstszymi między niemi, a ich panami wewnętrznej relacji smaku, szczerze odczuwanej, estetycznej, czy też cywilizacyjnej potrzeby i prawdziwego ukontentowania. Gdyby ten zbytek, niekiedy tak lekkomyślny i gorszący, był kwiatem z swojskiego, nad miarę żyznego gruntu, gdyby wypływał z wyrafinowanej sztuki życia, jak np. we współczesnej Francji, z szczerego, głębokiego amatorstwa, gdyby ta elegancja zewnętrzna, łączyła się była z elegancją umysłów, lub gdyby była nareszcie schyłkowym, patologicznym objawem, tak zrozumiałym w narodach bardzo starej kultury i bardzo bogatych środków, ale już przeżytych i przekwitłych — miałoby to wszystko pewne uzasadnienie i pewną logikę społeczną. Ale w narodzie młodym, ubogim, surowym jeszcze i mało oświeconym, był to tylko kontrast sztycherzy, a dlatego bolesny, że zbiegał się z najtragiczniejszą dobą naszych dziejów“.

„Nie brakło też kontrastu zbytkowi wielkiej i możnej szlachty — było nim już same tło społeczne, w całości swojej takie szare i ubogie, że gdybyśmy mogli je widzieć dzisiaj roztoczone przed sobą, ujrzelibyśmy, jak ta świetność gubiła się w płowej masie, jak ten złoty haft nie wystarczał, aby z tła zrobić małowiczny kobierzec. Nie mówiąc już o ludzie, który nie wchodzi w zakres tej pracy, dość było ciemnego tła w tej warstwie, która się także bracią szlachtą nazywała, w mnogotyśięcznym tłumie tej szlachty cząstkowej, zaściankowej, okolicznej, czynszowej, chodackowej, która choć ją rzeczywisty przywilej wolności, a fikcyjny równości dzielił przepaścią od ludu, przecież sposobem swego życia, stopniem oświaty i ubóstwem tak była bliska chłopu, że ją w naszym opisie obyczajów szlacheckich pomijamy, pozostawiając ją ludoznawstwu. Ten drobny szlachcic, najpośledniejszy „syn korony“, który ma dzisiaj więcej miejsca w powieści i w poezji, niżli go miał w historii — dał mu przecież Mickiewicz homeryczną nieśmiertelność, przynosząc na Parnas polski zaścianek dobrzyński — ten brat

szlachcic mieszkał tak samo w chałupie krytej słomą, nie zawsze i nie wszędzie opatrzonej kominem, i tem tylko różniącej się od chłopskiej lepianki, że nazywała się dworkiem i musiała koniecznie mieć ganeczek; nosił po szlachecku zawiesziste wąsy, ubierał się w siermięgę i płótniankę, a od wielkiego święta w kontusz z karazyi, przypasywał surowym rzemykiem szablę oprawną w gołą trzaskę, wotował na sejmikach, mógł wotować na króla, nazywał się w aktach „szlachetnym“, używał sam tytułu pana, a żona jego „jejmości“, i oto cały splendor jego stanu. Kłamką pańską, służbą wojskową, a na Rusi duchowną karierą, ihu-meństwem lub władcytstwem dobijał się niekiedy krescytywy i niejednen z tej ciemnej rzeszy dał początek rodzinie dziś już utytułowanej — tyle też tylko w opisie obyczajów szlacheckich powiedzieć o nim możemy. Rozsiedlony gęsto we wszystkich prawie dzielnicach Polski, mało wykazywał różnic prowincjonalnych pod względem dobrobytu, ubioru i obyczaju, ale jak wypływa z wielu wzmianek, najuboższy był i najwięcej dostarczał tematu do satyry na Mazowszu, gdzie, jak twierdzi arcybiskup Marescotti, w r. 1670, szlachta zaściankowa „niedawno jeszcze temu nie wiedziała, co to jest złoto, srebro lub wino, a popisywała się na zjazdach i okazowaniach w ubiorach i uzbrojeniu, wywołujących śmiech i szyderstwo widzów“. „Na konwokacji warszawskiej w 1587 r. panowie Mazurowie — czytamy w współczesnym zapisku — okazowali się dość blażeńsko, nie może być nikczemniej: mało nie wszystko na kijach było, około dwóch tysięcy; mieli niektórzy szyszaki z łubiu świerkowego, a gęsie pióra na wierzchu dla swojej większej ważności“.

Taką była masa szlachecka, stanowiąca, jak wiemy, już z historii politycznej, element decydujący nieraz w sprawach wielkiej, narodowej doniosłości. Tu też leży przyczyna owej tragicznej wprost samotności, towarzyszącej jednostkom myślącym nad społecznymi zagadnieniami w Polsce, gdyż ogół ciemny, rozkrzyczany i tak niesłychanie zarozumiały, nie rozumiał nic z tego, co mu oni pragnęli wyjaśnić, a tylko mocą swej „wolności“ niedopuszczali, unicestwiali i hamowali wszystko, co miało w sobie pierwiastki odrodzenia i przemiany.

W tej charakterystyce szarej masy szlacheckiej inny pisarz nasz, mimo, że z odmiennego „obozu“, podobne jak Łoziński kreśli obrazy. Smoleński ¹⁾ pisze, że „zwykłą widownią swywoli szlacheckiej były: karczma, targ, sąd, sejmik i kościół. Szlachcic mazurski nie rozstawał się poza domem z kijem sękatym, obuchem, lub rusznicą. Z najblizszej przyczyny wszczynał bójkę. Wrażliwy na lada uchybienie, na obelgi, lub potwarz, bronił swej czci, kalecząc prześladowcę, lub zabijając. Przyrodzoną popędliwość potęgowało w nim piwo, które pochłaniał w wielkiej obfitości. W karczmie z kmieciami, podchmielony, wadził się i bił. Awanturował się na targu z mieszczanami i Żydami. Rąbał współziemian w sądzie i na sejmiku. Zapalczywości swej dawał folgę nawet w kościele. W domu miał tysiące okazji do nieporozumień z sąsiadami o skibę roli, o pokos łąki, o szkodę w zbożu, pastwisku i ogrodzie. W ciągłych swarach stworzył obfity zasób przekleństw i wymysłów, nabrał rutyny w rozstrzyganiu zająć pięścią, lub kijem“. „Zwracali uwagę

¹⁾ Władysław Smoleński: „Szkice Dziejów Szlachty Mazowieckiej“. Kraków, 1908. Str. 160.

wszystkich swem ubóstwem, junakierią, swarliwością, fortelnością umysłu i innymi właściwościami plemiennymi“.

Zbierając materiały do naszych obyczajów, szukam cech charakterystycznych psychiki polskiej, na których moglibyśmy budować przyszłość. I, o ile łatwo mi przychodzi wykazanie idei, haseł i programów pracy u czołowych przedstawicieli społeczeństwa, o tyle trudno jest potwierdzić, by one były rozumiane, należycie oceniane przez ogół i by odgrywały rolę wychowawczą. Zdaje mi się, że potrzeba nam w pierwszej linii wzniesienia mocnego zrębu charakterów ludzkich, których byłoby nam brak. Chodzi przedewszystkiem o „cnoty“ powszednie, ciche, powiedziałabym „domowe“, a tak cenne i niezbędne, jak np.: umiłowanie i zrozumienie znaczenia pracy.

Łoziński jakże wymownie stwierdza nasze braki pod tym względem: „Zamki i rezydencje wielkopańskie rozpadły się w gruzy; tylko mała ich część zachowała się do naszych czasów w całości i z śladami pierwotnego splendoru. Na gruzach ich urosła legendarna tradycja, poetyczniejsza i chlubniejsza od prawdy. Miały one momenta zasłużonej sławy, epizody dobrze spełnionej misji patryjotycznej i cywilizacyjnej, ale wpływ dodatni, jaki wywierały na społeczeństwa ubiegłych wieków, pożytek, jaki mu nosiły, nie odpowiadał olbrzymim kapitałom, jakie w nich leżały, świetności materialnej, do jakiej się wznosiły, brzemieniu w końcu, jakim przygniatały lud ubogi, przyczyniający się znojem i groszem do ich blasku. I Rzplę kosztowały więcej, niż dla niej były warte. O ile były warowne, wstrzymywały do pewnego stopnia zagony najeźdźców i dawały schronienie uboższej szlachcie i najbliższym przynajmniej gromadkom bezbronного ludu; o ile były tylko rezydencjami, zastępowały poniekąd miasta, bo w każdym wielkim dworze był ksiądz, lekarz, aptekarz, rzemieślnik. Dawały ubogiej szlachcie chleb łatwy, a l e n i e u c z y ł y p r a c y; były może akademją oglady, ale bardziej jeszcze szkołą serwilizmu i zuchwalstwa. Wpływu społecznego w kulturalnem znaczeniu i w pełniejszej mierze mieć nie mogły, raz dlatego, że ich stosunkowo było zbyt mało, powtóre, że między niemi, a całym ich otoczeniem otwierała się przepaść, której wypełnić jedna strona nie chciała lub nie umiała, a druga nie mogła“.

Smoleński¹⁾ zaś przytacza wady, które również wykluczają istnienie świadomego wysiłku pracy w masie szlacheckiej, gdyż niedbalstwo, nieumiejętność gospodarowania, brak oświaty, niechęć do reform, dominowały nad naszym życiem.

Są to cechy nawzajem się uzależniające, bo nie może być odzucia i zrozumienia konieczności postępu w jakiejkolwiek dziedzinie, jeżeli niema p r a c y — pracując bowiem, nabieramy dopiero owego niezbędnego poczucia p o t r z e b y ulepszania metod pracy, rozszerzania perspektyw i zasięgu naszej działalności.

Smoleński w wyżej wymienionej książce pisze, „że pod względem potrzeb bardzo mało różnią się szlachcic od chłopca“. „Pod względem higienicznym, wychowania i oświaty, szlachcic stoi z chłopem na równi, lub niżej“.

1) „Drobna Szlachta w Królestwie Polskiem“. Studium etnograficzno-społeczne. Napisał Władysław Smoleński. Warszawa 1885 r.

Rzecz prosta — gdyż w warunkach pańszczyźnianych od chłopów niczego nie można było wymagać. Ale od warstwy, mającej wygórowane ambicje i wysokie mniemanie o sobie, nie tylko można, ale trzeba było żądać konkretnego realizowania szeroko sławionych „cnót“.

„Skalą przesądów przewyższa chłopów — skarży się Smoleński — oprócz powszechnych posiadających przesady rodowe, które go czynią dumnym i z wysoka traktującym ludzi krwi innej“.

Otóż te przesady rodowe, zamykające szlachtę w więziennej cieni własnego samochwalstwa, wytwarzały atmosferę, której przebić nie mogła m y ś l Europy Zachodniej, niesiona do nas piórem i słowem, mimo, żeśmy nieco tego poloru zachodniego zakosztowali, a omotawszy nim zewnętrzną część naszego życia, stwarzaliśmy fałszywy pozór kultury.

Loziński pisze, że „trudnoby było i najupartszemu nawet chwalecy przeszłości zataić przed sobą, że cały ten zbytek, cała ta świetność materialnej głównie natury, nie zubożyła kulturalnego mienia narodu, nie poszła na rachunek cywilizacyjnego dorobku; rujnowały się na niej olbrzymie fortuny; całe szkuty złotej polskiej pszenicy brał Niemiec gdański za jedną osobliwą błyskotkę, tak, jak dziś jeszcze Europejczyk bierze od murzyna kość słoniową za szklane paciorki, a nie charakterystyczniejszego nad fakt, że istniał specjalny rodzaj towarów, zwany przez Włochów roba per Polonia, obliczony na próżność i lekkomyślność klas bogatych, na ciemnotę i łatwowierność ubogich. Dopiero w do- brych sto lat potem odsłonią się oczom górującej warstwy narodu szerzej i jaśniej wieczyste cele kultury, rozpocznie się cywilizacyjna „rewaloryzacja walorów“, dopiero w dobrych sto lat później stworzy ks. Załuski swoją niezrównaną bibliotekę, kupi dziedzic tulczyński za 10.000 dukatów Madonnę Rafaela, wyłoży kanclerz Dominik Radziwiłł 60.000 czerwonych złotych na bibliotekę i gabinet przyrodniczy, powstaną Puławy i Nieborów, przyjdą na świat Działyńscy i Ossolińscy“. „Tej wyższości jednostek, które czy to urzędowo, czy prywatnie reprezentowały swoją ojczyznę za granicą, zawdzięczamy tę chlubną nad miarę opinię, jaką miała Polska XVI w. w całej Europie. Tworzyły one, że tak powiemy, fasadę, a poza tą fasadą — powiedzmy to sobie szczerze — świat domyślał się więcej, aniżeli za nią było naprawdę“.

„W przeważnej części było to bogactwo okupione ubóstwem, świetna fasada, poza którą daleko mniej było, niż obiecywała, poza którą niekiedy już nic więcej nie było“. „Był to aparat świąteczny, a święto nad wszelką miarę żyło kosztem dnia powszedniego“. „W porze od ostatnich lat XVII w. aż do ostatnich XVIII powstają te świetne sielskie rezydencje, które wyglądają na polskiej ziemi, pod jej szarem niebem i wśród mizernego otoczenia dworzków szlacheckich, krytych słomą i lepianek chłopskich, jakgdyby je magiczna różdżka przeniosła powietrzem już gotowe wprost z ojczyzny duków włoskich i markizów francuskich“.

Cytowany już wielokrotnie przeze mnie Franciszek Jezierski, stwierdza również to samo: „W naszym narodzie wspaniałość życia panów jest okazałą tatarszczyzną; nic nie widać w ich dobrach, tylko jedne nowe powstające pałace, a drugie obracające się w gruzy. Co jeden dziedzic zmuruje, to drugi opuści; resztę wspaniałości zastępuje

zgraja huzarów, ułanów, kozaków, psów, koni, myśliwców, muzykantów, nakoniec kuchnie, stoły długie i przy nich pijaństwo i obżarstwo, co odmienia charakter Sarmatów na coraz gorszy“.

Ileż to wieków odmieniano charakter Sarmatów propinacyjnym przymusem! Czyliż można się dziwić naszym wadom, naszej słabości, bierności, krótkowzroczności. Walka z alkoholizmem z perspektywy historii nabiera właściwej pełni zagadnienia podstawowego. Dzieje narodów są niczem innym, jak rywalizacją przeróżnie skomplikowanych czynników psychicznych, ujawniających się w materialnym bycie zorganizowanych państw. Formy państwowego realizowania psychicznych możliwości wielkich skupisk ludzkich, uzależnione są od wewnętrznej siły ekspansji, mającej się, już na szczęście, ujawniać nie w zaborczości terenów i ziem, lecz w twórczości naukowej, artystycznej i społecznej. Twórczość na jakimkolwiek polu, to przede wszystkim wysiłek pracy — alkoholizm, upośledzając system nerwowy i mózgowie, przytępia władze, służące celom wyższego rządu. Zagadnienie społecznej przebudowy, zagadnienie tak niesłychanie doniosłe i skomplikowane, wiąże się wielu niemi z charakterem człowieka, z charakterem l u d z i, którzy sami muszą się stać inni, by tej przebudowy dokonać. A stać się i n n y m może tylko ten, kto rozporządza pełnią swych możliwości, nad którym nie ciąży demony zahamowań rozwojowych, tragicznie chorobowe kompleksy, odziedziczone, czy nabyte, tak często pozostające w pośredniej, lub bezpośredniej łączności z alkoholizmem. Mam tu jednak na myśli przede wszystkim nie ludzi, których nazywamy „chorymi“ — ci należą z konieczności do lekarzy — lecz tych „zdrowych“, tych na każdym kroku spotykanych ludzi, pracujących niby normalnie, i normalnie idących przez życie. Oni to właśnie drogą obyczajowej, przeciętnej alkoholizacji, nie tylko, że nie wyżywają się normalnie w pracy, lecz ona ich przygniata, dręczy niepomierne, bo nie są w stanie wydobyć z siebie maksimum wysiłku, do którego w zasadzie są zdolni. Sprawdzianem normalnego wyżywiania się w pracy jest uczucie zadowolenia, radości, których nawet wielkie zmęczenie, silne chwilowe przepracowanie nie jest w stanie zagłuszyć. Można być wyczerpanym, można „gonić resztkami sił“, jak to się popularnie mówi, ale jednocześnie czuć radość z pracy, z pokonanego wysiłku, z wypełnienia czegoś, co się zamierzyło. Otóż, zdaje mi się, że taką radość może przeżywać przede wszystkim człowiek trzeźwy, gdyż on w pracy znajduje pełnię wyżycia swoich tendencji, potrzeb, pragnień. A jak mało jest takich ludzi. Tego rodzaju pełnia daje wielkie szczęście, bo czujemy się wewnętrznie uwolnieni od tkwiących w nas sił, domagających się ujawnienia, prących do krystalizowania swej treści, wołających o prawo do życia. I czyż nie jest nieszczęściem największym dla człowieka, owo dźwiganie w sobie niezrealizowanych pragnień, wzbierających buntem, fermentujących gniewem, w bezsilnej niemocy zatruwających psychikę, tak łatwo dochodzącą w takim stanie do chorobliwych depresyj!? Jakżeż często wtedy u kresu czai się narkomanja taka, czy inna — a jakże często obyczajowe, codzienne osłabianie w sobie woli i energii przez alkoholizm, jest źródłem takiego końca! Błędne koło.

W innym miejscu Łoziński przypomina, „że w żadnym innym narodzie nie spotykało się takiej obfitości, a nawet takiej przewagi cnót

i przymiotów, które sławny historyk angielski Macaulay bardzo trafnie nazywa „zbytkownemi“, z wielką niestety szkodą tych cichych, skromnych, prozaicznych, ale bardzo koniecznych, które są powszednim chlebem narodów“.

Taką powszednią, codzienną cnotą byłaby np. umiejętność panowania nad sobą, „której nie było w życiu starszylacheckim“, co stwierdza tenże autor. Wiemy wszyscy, jak bardzo dotkliwie odczuwamy jej brak i w dobie obecnej. Człowiek opanowany, spokojny, umiejący trzymać swę nerwy w należyтым porządku, to czynnik wysoce dodatni w procesie kształtowania się i układania form współżycia, czy to rodzinnego, czy społecznego. Alkohol, nawet w małych dawkach,—właśnie ten obyczajowy, zadomowiony, uświęcony tradycją pokoleń pełnych „animuszu“ i „fantazji rycerskiej“,—wyczynia tu wielkie szkody, porażając zdolności samokrytyki, umiaru, taktu. Odczuwamy brak tego „powszedniego chleba“ walorów psychicznych, który się wypieka w trudzie codziennych wysiłków, w ogniu równego płomienia, spalającego wszystko, co lichsze i podlejsze.

Łoziński, pisząc o życiu reprezentacyjnych sfer naszego społeczeństwa, nie mógł nie zastanowić się nad stanem bibliotek w owych możnych siedzibach magnackich i oto, do jakich spostrzeżeń dochodzi: „O ile wspaniałość wielkich zamków świadczyła o zmyśle monumentalności i o wyższym instynkcie kultury, o ile była szczerą a twórczą potrzebą potężniejszych indywidualności, pragnących stwierdzenia siły i dostojności swego rodu i stanu, a nie wpływała z pospolitego naśladownictwa lub z próżności, o tyle była dodatnim objawem społecznym w danym czasie i danej warstwie, — kwestja wszakże, czyli z tą zewnętrzną świetnością, z tym materialnym zbytkiem szedł także w parze względ na wyższe, idealne strony życia, nie zawsze i nie całkiem da się rozstrzygnąć na korzyść czasu i ludzi. Dopiero na szarym końcu inwentarzy tych wielkich rezydencji idą biblioteki, jeżeli tak nazwać można pewną ilość przygodnie zebranych książek. Czytamy wprawdzie, że na zamku brzeżańskim była „biblioteka portretami adornowana“, ale nie wiemy, czy były w niej książki; wiemy, że Adam Kazanowski miał w swym pałacu warszawskim bibliotekę w różnych językach, że w Ogrodzieńcu Firlejów, według słów wojewodziny smoleńskiej Petroneli Firlejowej, było „niemało ksiąg rozmaitych i drogą oprawą, kupionych za nieboszczykowskie pieniądze w cudzych krajach, i w ojczyźnie, że to była biblioteka wielka, z której Szwedzi pobrali“, że w Dąbrowicy były rękopisy „wybornem pisaniem, kosztownie oprawne“ — ale są to niemal wyjątki, i nie mamy też wskazówek, któreby świadczyły, że zakładano biblioteki z zamiłowaniem, systematycznie i z celem. W wspaniałym zamku, zbudowanym przez wojewodę Marcina Krasickiego, który, jak się wyrażało jego epitafjum: *Krasiczynum mundo admirandum fecit*, biblioteczka bardzo szczupła; jest w niej zaledwie sto dzieł przygodnie zgromadzonych, kilku klasyków starożytnych i kilku historyków polskich, dowiadujemy się zato, że niektóre księgi oprawne są w srebro i spoczywają w skrzyni aksamitnej także srebrem okutej“.

Mimowoli zadajemy sobie pytanie, gdzież byli ludzie, rozumiejący czem są książki, jakie mają znaczenia wiedza i nauka dla życia narodu. Znajdujemy dla średniowiecza odpowiedź na to pytanie u Ptaś-

nika¹⁾, który pisze, że „pomimo podkreślonych czarnych stron jego (duchowieństwa) życia, musimy sobie zdać sprawę, że to, co stanowiło w wiekach średnich inteligencję, co stanowiło naukę i literaturę, a w znacznej mierze i sztukę, to niemal wyłącznie do stanu duchownego się zaliczało“. „Prawdziwą miłość nauki, o ile ona w wiekach średnich miała miejsce, tylko wśród duchowieństwa spotykamy — na Zachodzie przeważnie — a w Polsce wyłącznie. Wszelkie podręczniki, z jakich szkoły średniowieczne korzystały, bez względu na to, do jakich gałęzi wiedzy należały, były dziełem prawie wyłącznie duchowieństwa; jego zasługą jest owa skromna literatura naukowa, jaką nam wieki średnie przekazały, od roczników i żywotów świętych do kronik, traktatów teologicznych, prawniczych, czy przyrodniczych. Nawet największa chluba astronomiczna nasza i wogóle światowa ze skłonu średniowiecza — Kopernik, do stanu duchownego się zaliczał.

„K s i ą ż k a W jakiejże cenie miały ją wieki średnie! W żadnej epoce nie była tak ukochaną i prawie, że pieszczoną!

„Książka w owych czasach, to najdroższy klejnot, to prawdziwy pokarm dla ducha i zarazem przedmiot wysokiej wartości moralnej. Obok relikwii, to najcenniejszy i najmiłszy dar, jaki można było otrzymać. Ofiarowali ją ludzie bogaci kościołom i klasztorom z obowiązkiem modłów za duszę ofiarodawcy, w ten sam sposób, jak za dar wsi, lub drogich klejnotów. Pro remedio animae meae: na zbawienie mej duszy — pisali na niej. Bo też ta książka była owocem długiej i mozolnej pracy, nie tylko autora, ale i kopisty, który jak prawdziwy artysta, od początku do końca przepisywał ją tem samym równym i kaligraficznym piśmem na drogim materiale, jakim wówczas był pergamin. On sam lub specjalny inny artysta-illuminator ozdabiał jej karty delikatnej i misternej roboty minjaturami, tytuły poszczególnych rozdziałów rysując atramentem czerwonym, a ważniejsze litery srebrem, lub złotem. Cenił ten skarb, a, obawiając się chciwości ludzkiej, w bibliotekach kościelnych i klasztornych łańcuchami go do pulpitów przymocowywano“. „Nie broniono z książki korzystać; biblioteki klasztorne i kościelne bowiem dla ówczesnych uczonych, a zatem księży, były dostępne, przestrzegano jednak, by jej czytelnik nie brukał, nie niszczył, po użytkowaniu zamknął i w takim stanie zostawił, w jakim ją znalazł. Mądry, jak z klejnotem, winien się z książką obchodzić, bo tylko głupiec jej nie szanuje. Każdy klasztor, każdy kościół starał się mieć swoją bibliotekę; hasłem każdego klasztoru było: Klasztor bez księżnicy, to jak zamek bez zbroicy“.

Tak się odnosiły „szczyty“ duchowieństwa klasztornego do nauki w średniowieczu — liczna, ogromna masa duchowieństwa, tak samo zresztą jak i społeczeństwo, z którego wyrastało, w karczmie wiodło swe szare, codzienne, smutne życie. Znajdujemy u Ptaśnika bogaty materiał dowodowy o pijaństwie księży i mnichów — ale ponieważ zasadniczo nie posiadało ono cech specjalnie wyróżniających się z ogólnego tła pijackich zwyczajów, więc pomijam je — pokrywa się ono całkowicie z obrazami szlacheckiego, pustego, czczego i hulaszczego bytowania.

¹⁾ Jan Ptaśnik: „Kultura wieków średnich“. Życie religijne i społeczne. Z ilustracjami. Warszawa 1925. Instytut wydawniczy „Biblioteka Polska“. Str. 302.

Przechodzę do omówienia książki przedstawiciela szlachty kresowej wieku XIX-go, który dał nam w swej pracy ciekawy, charakterystyczny obraz obyczajów braci-szlachty. Jest nim dr. Stanisław Morawski, ur. w 1802 r. w Mickunach pod Wilnem. Profesor Henryk Mościcki pisze ¹⁾, że pamiętniki i wspomnienia tego pisarza „zawierają tyle faktów ciekawych, takie bogactwo typów, taki wypukły obraz społeczeństwa, w którym był autor, że naprawdę musimy je uważać za jedno z najlepszych pamiętników polskich“. W przedmowie do późniejszej pracy Morawskiego ²⁾ prof. Henryk Mościcki pisze, że był to „człowiek wykształcony wszechstronnie, zdolny, bystry obserwator, niezależny w sądach, a do tego błyskotliwie dowcipny i znakomicie władający piórem. Zamknawszy się w swem Ustroniu, ten „wielki nieznany pisarz“ dla swej przyjemności kreślił te wspomnienia, pisał je więc zupełnie szczerze i z całą lubością“.

Wizerunek szlachty, pisany więc przez człowieka, pochodzącego z tejże sfery i tkwiącego w niej wszystkimi korzeniami swej natury, człowieka przekonań nawskroś konserwatywnych, ale... wysoce rozumnego i krytycznie myślącego, wnikliwie oceniającego wartość życia i stosunków go otaczających, jest niesłychanie charakterystyczny i przekonujący. Będę tu omawiać najbardziej doniosłą dla mego zakresu pracę Stanisława Morawskiego pod tyt.: „Szlachta - Bracia“ ³⁾, gdyż w niej głównie roi się od spostrzeżeń i myśli specjalnie nas interesujących. Przedewszystkiem rzuca się w oczy tabelka, ujmująca w następującym schemacie życie przeciętnego szlachcica. Oto ona:

<i>Łań szlacheica.</i>	<i>Życie szlacheica okolicznego.</i>	<i>Adnotacje.</i>
od 1 do 3-ch.	Rodzi się. Ojcu winszują. Parobek na to uśmiecha się głupio. Ssie co wlezie. A wrzeszczy, jak najęty na całą okolicę, jakby go rżnęli Tatarzy. A co moment woła: „Mamo chleba“.	Matka gwałtu woła. Czasem nawet i męża swego za to przeklina. A on nieborak Bogu duszę winien, tylko ramionami ściska, o interesach myśli i żali się na to, że polieja ziemska ciągle do niego zajeżdża.
od 3 do 5-ciu.	Gęsi pasie. Ale bez biczyka. Ojciec go jeszcze nie daje.	
od 5-ciu do 7-mju.	Swinie pasie. Awans. Górą nasi. Już i z biczkiem, którym małych żydków ugania.	

¹⁾ Dr. Stanisław Morawski: „Kilka lat młodości mojej w Wilnie“ (1818-1825). Wydali Adam Czartkowski i Henryk Mościcki. Z 24 ilustracjami. Warszawa 1924. Instytut Wydawniczy: „Biblioteka Polska“. Str. XVII+541.

²⁾ Dr. Stanisław Morawski: „W Peterburku“ 1827-1838. Wspomnienia Pustelnika. Koszałki Kobiółki. Z 18 miedziodrukami wydał Adam Czartkowski, Henryk Mościcki. Wydawnictwo Polskie. Poznań. 1927. Str. VIII+370.

³⁾ Dr. Stanisław Morawski: „Szlachta-bracia“. Wspomnienia, gawędy, djalogi (1802—1850). Z 8 ilustracjami. Wydali Adam Czartkowski, Henryk Mościcki. Wydawnictwo Polskie R. Wegnera. 1929. Str. XIV+259.

<i>Lata szlachcica.</i>	<i>Życie szlachcica okolicznego.</i>	<i>Adnotacje.</i>
od 7-miu do 12-tu.	Uczy się pilnie nic, a nic nie robić przez całe życie; na zgładzenie robaka czasem wypija już czarbkę.	Czasem już i fajkę palić zaczyna.
od 12-tu do 17-tu.	Ćwiczy się w sztuce próżnowania, przywyka do niej zupełnie. Dłubie w nosie wszystkimi palcami. Opiera się i rozwała po ławach doskonale. Fajkę pali. A w 1849 r. już nawet umie skręcić dobre cygare. Na fartuszek patrzy ciekawie. Przeżegnać się? Jak Bóg dał. Proboszcz ledwie nie płacze.	Czasem już od lat kilku serdecznie kocha i chce się żenić. Czapka dziurawa zawsze na baki.
od 17-tu do 20-tu.	Już wybornie umie nic nie robić. Ojca okrada w świecie. Tęgo się kocha. Rad zająć, gdzie tylko zwącha krupniczek, ale od starych lepiej mierzy się z prostą wódką. Zalecanki i po chłopsku i po szlachecku umie na pamięć. W karczmie tańcuje kozaka. Dziewczptom sok z cybuchu swojego miesza do wódki, żeby się prędzej upiły. Z chłopami brat za brat. Często od nich wybity.	Czasem się już żeni.
od 20-tu do 25-ciu.	Czasem chce być namiestnikiem u jakiego pana, żeby lepiej i kraść i broić. Inaczej żeni się koniecznie, bo już wie z doświadczenia, że ród jego szlachecki przez niego nie zgaśnie.	Stary ojciec czasem wtedy i kijem skropi. Ale to rzecz oddana. Jak ojciec postarzeje, żeby krzywdy nie było, odbiera to potem od syna.
od 25-ciu do 60-ciu.	Panie Boże odpuść.	

Muszę się przyznać, iż nie mogłam w pierwszej chwili po przeczytaniu ochłonąć ze zdumienia, że tak plastycznie zostało uwypuklone owe potworne nieróbstwo szlacheckie, owa przerażająca pustka bezideowości, nurzająca się z zadowoleniem w pijaństwie, przez człowieka stojącego jaknajdalej od jakichkolwiek radykalniejszych kierunków społecznych. Znalazłam jeszcze raz potwierdzenie mego głębokiego przeświadczenia, że o wartości ludzkiej na jakimkolwiekby to było polu, stanowią nie zachowawcze, czy postępowe poglądy, a s a m o d z i e l n o ś ć myślenia, s z e r o k o ś ć widzenia, zdolność ogarniania całokształtu zagadnień i wielostronności ich objawów. Jakżeż często niestety, np. ludzie z „lewicy“ wykazują ciasnotę, fanatyzm, zupełną niemożność wycucia skomplikowanego zespołu czynników, wymagających specjalnego traktowania, wyjątkowo trudnych i indywidualnych metod postępowania. Nieśluszenie wyłącznie „prawicę“ obciążamy zarzutem obskurantyzmu i zaściankowości—są to wady jaskrawo występujące we wszystkich ugrupo-

waniach społecznych, a istotnej samodzielności, istotnej odwagi myślenia i tu i tam mało, bardzo mało. Dlatego właśnie postać Stanisława Morawskiego jest tak wyjątkowa i zastanawiająca. W jakżeż sarkastycznych słowach opowiada on np.: o lenistwie szlacheckiej młodzieży, która nie chce wyruszyć w świat, by się wyrwać z letargu prowincjonalnej głuszy, by stworzyć sobie jakiś lepszy los; tkwi zaś niedziałając, śpiąc, niemrawa w otoczeniu rodzinnym i nigdzie się nie rwie, niczego nie pragnie, niczem się nie interesuje. A gdy się zapoznamy z licznymi cytatami o alkoholizmie, rozpanoszoną wszechwładnie, to wiążemy te zjawiska w zespół tragicznych okoliczności, hamujących rozwój normalny społeczeństwa.

„Weź wszystkie wady litewskiego chłopca, zmieszaj je ze wszystkimi wadami niedźwiedzia i osła, dodaj do tego jakąś cząstkę przebiegłego szachrajstwa żyda; weź przesady, ciemnotę i zabobony dzikiego człowieka, zamarynuj to wszystko w kufie tęgiego spirytusu; włóż na nogi czy chodaki, czy łapcie; wdmuchnij w nozdrza, albo chytrą lisę, albo głupotę i lenistwo żółwia; nawieź i na niego i na cały dom jego z paręset wozów różnego śmiecia, brudu i błota; wpuść na ściany i podłogę nie więcej nad pół miliona pcheł, prusaków i pluskiew, a na to wszystko narzuć kilka centnarów zarozumiałości, pychy i dumy, a będziesz miał najtrafniejszy konterfekt i osoby i bytu dzisiejszego okolicznego szlachcica.

„Czyż wszyscy tacy, zapytasz? Nie, ale na tysiąc ledwie jeden nie taki.

„Uderzam się w piersi. Jaż sam nie co lepszego, jak szlachcic. Ale ze wszystkich stworzeń dzisiaj tutaj żyjących, najobrzydliwszem, odpuść mnie Panie, najwięcej godnem, jeżeli już nie pogardy, to wzgardliwej liłości stworzeniem, jest stworzenie, nazywające się okolicznym szlachcicem“.

I znów spotykamy twierdzenie, że tylko jednostki były inne — masa zaś ciemna, leniwa, dumna i zarozumiała. Trud to był nad siły, by z niej wykrzesać zapał do czynu, by ją ożywić jakąś ideją. Widzimy, że hasła programów bodaj nawet najszczytniejszych nie zdołały przeorać bezmyślnego ogółu, bo ostrza ich nie odwalały skorupy skamieniałej bierności; — lecz może owe tragiczne wstrząsy emocjonalne, dostarczone ostatnio przez wielką wojnę, już zmiękczyły serca, wyrwały z odrętwienia mózgi i przygotowały grunt na posiew prawd najprostszych, codziennych, najpotrzebniejszych. Nie pij, bracie — ucz się, otwórz przytomnie oczy i spójrz w świat, w dal; wyjrzyj za opłatki swych wiosek i dostrzeż wstające świty nowego dnia, — oto z czem należy iść tam, gdzie ciemność panuje. Azbudzony, trzeźwy człowiek, wszystko jedno, chłop, robotnik, czy szlachcic, człowiek wyzwolony z klasowego jednostronnego, ciasnego fanatyzmu, ten naprawdę n o w y człowiek sam sobie wytworzy formy społecznego życia. Przestańmy się troszczyć, o te dalsze etapy rozwojowe, nie my będziemy pisać kodeksy praw i norm, nie my ustalać sprawdziany etyczne — to zrobi jutrzejszy człowiek. Naszym zadaniem, zadaniem ginącego ustroju kapitalistycznego, jest wyzwolenie społeczeństwa z przekłętego, hańbiącego jarzma alkoholizmu. Kapitalizm wytworzył współczesne formy alkoholizmu — niechże pokolenie żyjące jeszcze w okresie jego co-

raz bardziej nieuniknionej ruiny, obali obyczaj picia, będący najstraszniejszą odmianą niewoli ludzkiej. Odrabiając prace zaległe od wczoraj i pozawczoraj mamy nakreślony już program w krzyczących brakach, którymi tak jaskrawo różnimy się od Zachodu, — spełniając zadania narzucane przez dzień bieżący, przygotowujemy lepsze, nowe Jutro, które bez naszych teoretycznych roztrząsań i szumnych, gładkich frazesów samo, mocą rozwojowych sił wytworzy, odpowiednie swej treści treści wewnętrznej, formy istnienia. Ustrój będzie takim, jakim stanie się człowiek. Jesteśmy epoką głębokiego, nurtującego fermentu — nie dajmy się unosić patetycznej deklamacji zasadniczo może nawet słusznych idei, bo ona przesłania (tak jak w przeszłości przesłaniała z innej pochodzącej strony) c z ł o w i e k a, ów skarb najcenniejszy, o który chodzi nam przede wszystkim w odrodzonej społeczności ludzkiej, jeśli i s t o t n i e wierzymy w jej ozdrowienie. Do takiej pracy powinni stanąć wszyscy, bez różnicy przekonań politycznych, wszyscy, którzy nie mogą trwać beczynnym w okresie przelomowych dziejów świata.

Posłuchajmy co mówi Morawski o picciu współczesnego sobie pokolenia: „Ustawiczne, ale to ustawiczne picie, a raczej żłopanie rozmaitych, jakie tylko sobie pomyślisz, trunków — od rana do wieczora — było podówczas modą palestry.

„Wódka i zakąski, wina i portery koszarowe prawdziwe angielskie nie szły do liku. To się wypijało tak sobie, od niechcienia, mimojazzdem bez żadnego znaku po sobie, akurat, jakbyś plasnął biczem po wodzie. Tu wypilo się, idąc na sądy; tu wypilo się, że człowiek już przyszedł na sądy. Tam, że coś, Bóg wie od czego, brzuch boli! Tu, że już południe, hora canonica, a człek dotąd najmniejszego apetytu nie czuje! Tam jedynie przez grzeczność dla amfitrjona! Tam dla miłości przyjaciela od serca, dla któregoby się człowiek rad, dał powiesić. Dostyc, że się piło, piło, piło i piło!

„Gdzie się to w człowieku w tak szczupłych od Boga na pokarm i napoje przeznaczone celkach mieściło, to tylko Jemu jednemu wiadomo. Tak jednak się działo!

„Ale te przedwstępne podlechtywania gardzieli, to dorywkowe raczenie się były, jak powiadam, tylko ziarenkiem piaseczku w morzu! Prawdziwe libacje zaczynały się dopiero po południu.

„To się nazywało systematycznym fachowem nazwiskiem; nazywało się: bibenda.

Bibenda dwojakiego bywała rodzaju.

Jedna obywatelska, trąca obczyzną, bo wiejska, mieszana w trunkach, szumna, en compotte i dlatego licząca się do nadzwyczajnych, boć się to nie codzień zdarzało. To zwykle była skutkiem wdzięczności za wyszły dzisiaj, naprzykład, sądowy dekret na korzyść amfitrjona. Tutaj figurowały i wódka i dubeltowe piwo. I kołduny i szampańskie. I kielbasy i Bordeaux. I lura, i portery, i poncz. Była to jednym słowem babilońska wieża z napojów i jadła, podparta butelkami i szklankami, były to szumne wyjątkowe niby rekreacje palestry, po których zwyczajnie jak po nadużyciu, jak po przypadkowych orgjach i zbytku, czasem i głowa boliwała nazajutrz całej przedświeitnej palestrze.

„Druga bibenda — zdrowa krzepiąca lud Boży, poważna, spokojna, bibenda codzienna, zwyczajna bibenda ex officio, kolejką przez człon-

ków palestry wyprawiana, skromna, jak kryjący się w trawie wiosenny fijołek, cicha, jak słodkie naszej Wilji nurty, zawsze jeden tylko wyłącznik przed sobą, przed całą masą skoalizowanych gardzieli stawiała trunek bez żadnych mieszanin. Dziś, mości panowie, porter? to porter. Ju-tro dubeltowe piwo? to piwo. Ale najwyczejniej poncz palmę odbierał. Wypić od trzeciej po południu do dziesiątej wieczorem na głowę po piętnaście szklanek ponczu, było to, jakbyś swoje wyloty za plecy zarzucił. O tem już nikt ani wspominał. Nielaskawem okiem patrzano na ludzi tegoż samego stanu, którzy czy dla pierwiastkowego staranniejszego wychowania, czy dla wrodzonego wstrętu do takiej bibendy, bo ja tego pijatyką nazywać nie śmiem, nie łączyli się z kolegami swoimi. Jedno tylko zdrowie, a w szczególności suchoty, albo puchlina, w skutek dawnych staropolskich jeszcze bibend nabyte, znajdowały szczere pobłażanie i względność; tym wolno było patrzeć i zacierać ręce, a samym nie.

„Zliczeniem jednakże takich, o których wyżej mówiłem, zdrowych moderatorów nigdziebyś pięciu swoich nie zamordował palców. W Kownie, naprzykład, jeden był taki adwokat Jagintowicz. Ten, w ochędóstwie wielkie mający zamilowanie, strojnie się nosił, nigdy nie pił i nie upijał się nigdy. Wyglądał zatem, jak raróg, jak monstrum pomiędzy niemytymi, nieuczesanymi i nieogolonymi, ale pełnymi zdolności i weny mata-dorami kowieńskiej palestry. Szanowano go powszechnie, bo trudno było inaczej. Ale go nie lubiono. A nie tylko nie lubiono w palestrze. Nie lubiono go nawet bardzo i między obywatelami powiatu. Powiadano o nim, że dumny. Pogódźcież te kontrasty.

„Aa! Bo i obywatele ze wsi, wierzący, że, wjeżdżając naprzykład do Kowna, wjeżdżali do miasta, wierzyli, że tu wieśniakowi koniecznie i pohulać i podweselić się trzeba. Nie drwicie sobie z takich przekonań. Bibendy, wprawdzie ustaly. Ale po latach dziesięciu pobytu na wsi i wy, coście doprawdy miasta widzieli, uwierzylibyście w te same dogmaty.

„Zdarzało się nieraz, że jadącego ze wsi obywatela, idąc spacerem, spotkano przypadkiem na rogatce. Zaciągnięto go zaraz na łykawkę prosto, jak był, z woza. I tam wszystko z nimi, i co miał w kozicy, i co miał w trzosie, i co zostawało w walizie, jak raz za jednym wieczorem przepił. A nazajutrz ileż to było żartów i kpinek! Jak się do rozpuku z prowincjała, z domatora śmiano! A on się po swojemu odcinał. A cząsem i niezłe odcinał“.

Gdy się przeczyta taki obrazek kreślony ręką człowieka najzupełniej wiarogodnego, to mimowoli nasuwa się myśl, że społeczeństwo tak zalkoholizowane faktycznie jest jeszcze na najniższym szczeblu rozwojowym własnych uzdolnień, że tkwią w niem niewyzyskane, nieprzeczuwane nawet możliwości. Wiaraę w nieunikniony, konieczny postęp ludzkości, czerpiemy właśnie z tej pewności, że nasze uzdolnienia nie tylko leżą w powijakach, ale nie pozwalano im się rozwijać, zatruwając tak doskonałe system nerwowy i mózg.

W innym miejscu Morawski pisze: „Ale znowu nie myślcie, że tam tylko pito i pito, jak brahę. że to były rury! Dowcipu tam wszędzie było jak w bród! Rozumie się, dowcipu powiatowego, czysto powiatowego, czysto palestranckiego, któregoście, wy stołeczni, narazie nie pojęli, ale potem pojawiwszy, nie chcąc nawet, śmiać byście się musieli. Tam wszystko iskrzyło się, jak nasz litewski zapalony smolak! Tam artyku-

ły, naprzykład statutu, a czasem półgębkiem i ukaz jakiś, wtlaczały się metaforą w sądy i zdania o wypadkach potocznego życia i trafnem użyciem prawniczych wyrazów, trafniejszymi jeszcze robiły aluzje. Tam wprawdzie materja górę brała nad dowcipem zlatującym z ducha. Ale, że to bywało i bardzo często, bywało bardzo pocieszne, choć najczęściej rubaszne, tego i Bóg i ludzie nie zaprzeczą nigdy.

„Dodać tutaj winienem, a to zważcie sobie dobrze, że te wszystkie swawole nie tykały się, broń Boże, młodzieży; służyły one wyłącznie samym mecenasom. Aplikanci odbywali, jak błazny, prawdziwie księży, a czasem nudniejszy jeszcze od księżego nowicjat. Hodowano ich, jak panienki. Nigdzie nie wolno było ani wetknąć im nosa. Nawet z papierami do pijącego pryncypała przyszedłszy, za drzwiami traktjerni stawali. Bo nieraz i kij bywał w robocie za to, że weszli, gdzie się im nie godzi, i zaraz najpewniej bywała „fora ze dwora“. Słabościom tedy Noego nie urągały nigdy dowcipy Chama! I jeżeli kto z młodych zgrzeszył, to już bardzo, bardzo cichaczem. I słusznie! Quod licet Iovi, non licet bovi“. W skreślonej wielką swadą przez Morawskiego biografji Ignacego Łukaszewicza, czuje się między wierszami bolesny surowy osąd społeczeństwa, które nie umiało ocenić tego niezwykłego, „trzeźwego“ człowieka. „Pierwszy do niczego niesposobny szulerek, lub chłystek sto razy od niego wszędzie więcej był poważany“. „Łukaszewicz, przywykły już z natury swojej do ciągłego zatrudnienia i pracy“ musiał razić w środowisku różniaczonem i rozpitem — mało tego, to środowisko osnuwało jego postać tysiącem inwektyw, szczerą, niekłamana pogardą i zupełnem niezrozumieniem. Szeroką była sfera działania Łukaszewicza: „czytanie, rysunek, oprawianie książek, kwiaty, zegarki, fortepiany, rozmaite inne, to ślusarskie, to stolarskie roboty, t. j. ciągła a ciągła praca i zajęcie się cały czas jego brały“.

„Póki było lato, dosyć mu było ogródka, z którego nie wychodził nigdy. Ale zbliżała się zima. Jął się tedy książek. Czytał je naprzód biorąc u sąsiadów, potem zbierać i skupować zaczął dla siebie samego. Nie znał innego języka oprócz polskiego. Litewski, który posiadał i którym kiedyś tak słodko do płci pięknej przemawiał, w literaturze nie mógł się mu przysłużyć. Rosyjskiego dopiero pod starość za moją namową i pomocą niezłe się nauczył. Wszystkie tedy książki jego polskie były. Mimo to przez różne godziwe starania, handelki, frymarki, jak było można, wszystko, co jeszcze w książkach po domach szlachty okolicznej było, do siebie przygarnął, pościągał i w parę lat doszedł do tego, że miał bibliotekę z około tysiąca tomów. Jakże się tylko po okolicy rozniosło, cały świat, udający, że chce czytać, a chcący doprawdy cudzą książkę osmarować, obedrzeć i nad nią drzemać; świat, mówię, swoim zwyczajem, panowie i słudzy, bogaci i ubodzy, dalejże zabiegać się do niego, z jego pracy i starań korzystać i wołać: „Panie Ignacy, pożycz książkę do czytania, umieram z nudy“. Mówiąc nawiasem, ten rodzaj śmierci u każdego tutaj aż dotąd jest na ustach. Nikt jednak dotąd na szczęście z tego defektu nie umarł. **K a r t y i b u t e l k a** i rumiana buzia specyficznemi na to okazywały się środkami. Przed paru laty i fuzyjka do tej należała apteki. Ale tę rząd z politycznych uwag wszystkim teraz co donogi odebrał. Tamtych środków wszakże na lekarstwo wystarcza. Wołali tedy wszyscy: „pożycz książek, pożycz“. Cóż to począć? To

już taki zwyczaj! Wiesz zgóry, że jak pożyczysz, zwałają ci książkę, za-brzydzą, najobrzydliwiej splugawią, tomy potracą, karty wydrą na za-palenie fajki, alboć na co gorszego w potrzebie naglej: bo u nas po do-mach tak mało papieru! A jak to zrobią, wielka łaska będzie, kiedy ci już takiego skoszlawionego trupa oddadzą! I jeszcze w oczy patrzą, czego to, odbierając tak ozdobioną księgę, postawiłeś marsa.

„Poczuł to natychmiast smutnem doświadczeniem nasz Łukasze-wicz. On, co każdą książkę, tylu trudami nabytą, tak umiał cenić, że ła-mi spotykał wracającego do domu obdartusa wówczas, kiedy go wy-twornie czystego, umytego i wychuchanego pożyczył. Osoby wszakże, które go o książki prosiły, były najczęściej takie, że im przyzwoitość nie pozwalała odmawiać. Jedną z najdemokratyczniejszych i najpopularniej-szych zalet w naszym kraju jest kapcaństwo. Nie wyłącza ono żadnego stanu“.

Nie interesowałyby nas, rzecz prosta, los księgozbioru Łukaszewicza gdyby był sporadycznym wypadkiem ludzkiej nierzetelności — ale bo-lesnym jest fakt, że jest on przejawem „zwyczaju“ powszechnie panują-cego, fotografią wartości moralnych społeczeństwa; jest jeszcze jednym przyczynkiem potwierdzającym moje najgłębsze przekonanie, że alko-holizm, karciarstwo i rozpusta rugowały wszelkie intelektualne zaintereso-wania, hodowały ciemnotę, pogrążyły w mrok beznadziejności i pustki.

I jeszcze jedno: środowiska zalkoholizowane, tępe, zaśniedziałe nie znoszą wprost odruchowo ludzi z „innego“ świata, — bronią się przed nimi całym aparatem bezczelnie podłych insynuacyj, wysuwają przeciw nim małość i zjadliwość swych wypaczonych, zgangrenowanych mózdz-ków.

Z pasją kolekcjonując wszystkie wypowiedzenia i myśli pisarzy, spotykane w wędrówkach po świecie drukowanego słowa — skrzętnie zbierając wszystko to, co inni dawniej w książkach swych wypowiedzieli, a co uwydatnia zasadniczy kierunek mego ustosunkowania się do poru-szanych zagadnień — znalazłam u Morawskiego silne bardzo potwierdze-nie i tego spostrzeżenia, które może się wydawać nawet dziwnem i nacią-ganem. A jednak jest ono niestety prawdziwe. Oto co pisze Morawski:

„Po kilkunastoletniej w Litwie nieobecności musiałem nakoniec z powodu śmierci ojca mojego wrócić w rodzinną stronę. Jak owad, co się na świeże ciało łapczywie i żarłocznie rzuca, a rodzicowi swemu nie-jako folguje, rzuciły się natychmiast na mnie wszystkie wszystkich jezy-ki. Najpłodniejsze wyobrażenie niezdola tego opisać, co kochani współro-dacy moi, co dobrzy bliźni moi, co łaskawi sąsiedzi o mnie mówili. Jakich na mnie od razu nie rzucali potwarzy, czego im nakoniec do głowy nie przyszło. Nie licząc już takich bredni, jak to: że jadam zawsze surowe mięso, albo że mam konszachty z „duchami“, co niedawno jeden z nich nawet drukiem ogłosić raczył. A najlepsi w tem rzemiośle byli właśnie ci, którym dawniej, kiedy tu za młodu mieszkałem, najżywotniejsze uczyni-łem przysługi. Jam ani drgnął na to. Śmiałem się z tego w duchu, bo wie-działem z góry, że to tak być musi. Puściłem wszystko na los szczęścia. Tam zaś, gdzie już i najświętsze i najlepsze chęci w potwornym sposo-bie przewracano, ganiono, powiadałem dla własnej pociechy: „Barbarus hic ego sum, quia non intelligor illis“... i na tem się cała zemsta kończy-ła! A oni nie umieli po łacinie“.

źródło tej nienawiści tkwi w tem, że miał odwagę przeróść swe otoczenie, że nie chciał pić, grać i nie widzieć świata bożego, — nie chciał się równać z nimi. Morawski powiada, że Łukaszewicz był może jedynym człowiekiem „co był wart tego nazwiska. Ale się myślę zapewne. Nikogo tu nie znam i z nikim nie żyję. Zapewne jest ich więcej. Czyż nie prawda? Ciągłe tu jednak powtarzane słyszę przysłowie: „Są tu ludzie, ale człowieka niema“.

Ludzie czuli, iż on szukał człowieka, a wiedząc doskonale, że takiego „dziwadła“ wśród nich niema, sami z niego zrobili straszidło, pośmiewisko i całą własną nicość ze swych pleców na jego przetrzucili. Znana, wypróbowana i nieśmiertelna broń każdego szarego tłumu, bezmyślnie depreczującego wszystko, co wyrasta nad jego poziom.

A oto inny obrazek u Morawskiego, jak alkohol deprawował charakter, jak szlachtę spychał na dno moralne: „Granica t. j. brzegi naszego poczciwego starego Niemna, były zrazu strzeżone przez szlachtę. Zwano ich po naszymu strażnikami, a z ruska „objeżdzykami“. Zaszczyt ten finansowy nie był przez szlachtę należycie pojęty! Mówiono: „At, czego to, mospanie, Moskala żalować!“ A mógłby on jednakże wyprowadzić tę szlachtę na wyższą i lepszą niż teraz sferę działania. Nigdy nie było większego tutaj „przemytu“, jak kiedy go strzegła krew nasza szlachecka! A rząd spuścił się był wtedy na jej uczciwość i honor. Pieniądze przekupne toczyły się ryczałtem do tej szlacheckiej z kuzelu utkanej kieszeni. Ale, jak w dziurawej becce, złota woda z jednej strony nalana, natychmiast wyciekała przez drugą. Że aż żydzi, polykając ślinkę, ramionami tylko ściskali. Rzadki, arcyrzadki się znalazł, coby grosz ten, sam się do niego gwałtem cisnący, nadal zachował. A to tem dziwniej, że portery angielskie i wszelkie zagraniczne trunki zalewały wówczas od stóp do głowy nadniemeńskiego strażnika — szlachcica w rodzaju prezentów i darów. Że to do datku pieniędzy nie mieśzało się zgółta równie jak z cudzoziemskich wyrobów żon, sióstr i cerek stroje. Bo to było tylko t. n. „baryszem“.

Książkę swą Morawski kończy obrazem „Obrad sejmikowych“. Ot, bracia-szlachta rajcują nad poprawą drogi niemożliwej wprost do przebycia i kończą narady stwierdzeniem faktu, że nikt nie chce dać minimalnej składki na potrzebny fundusz, bo jak się okazuje nikomu droga ta jest niepotrzebna, więc na nią ma wyłożyć tylko ten, co przy niej mieszka. Rzecz prosta ten „jeden“ również tego nie uczyni, bo to zbyt wielki koszt dla jednej kieszeni, więc wszyscy będą tą drogą fatalną jeździć, kłać, marnować konie, mitrężyć czas. Hasło wspólnego wysiłku materialnego, podjętego ku realizacji publicznej, wygodnej drogi jeszcze nie może trafić do głów szlacheckich. Mniejsza zresztą o tą drogę; na sejmiku wyłania się kwestja wypędzenia żydów z kraju, tych „pijawek“, heretyków, szelmów, i t. d. I tu mamy kawałeczki dialogu, jakgdyby specjalnie dla nas pisane. Oto one:

Mówi życiński: „Kiedy na mnie kolej głosu przychodzi, zwrócić muszę waszmościów uwagę, że niezupełnie słusznie z taką grozą odzywamy się na żydów. Ośmdziesięcioletni starzec, pamiętam ja dobrze dawniejsze od waszmościów czasy. I za polskich czasów nie tak to bardzo wieszaliśmy żydów, jak się może teraz komu zdaje. Ja mam także siaki taki kawałek ziemi po przodkach moich. Zgadzam się na to, że

żydzi są dla włościan naszych szkodliwi. Ależ i na to zwrócić uwagę należy, że to są w naszym kraju jedyni ludzie, co jeszcze jakakolwiek przezornością, przemyśłem, pojętnością, przetarciem się swoim, chronią nas samych od ostatecznego barbarzyństwa i zupełnej zguby. Nie ma tu czego między nami taci! Wszyscyśmy swoi. Wszakeśmy wszyscy tutaj stara i odwieczna szlachta i bracia? Bodaj tylko, czy my sami szkodliwi dla włościan naszych nie jesteśmy od tych bezbożnych, jak mówicie, żydów! My im w ręce oddaliśmy broń najsilniejszą: wódkę. I tę wódkę koniecznie zbywać im każemy. Już ciż się wódka, jak woda nie wylewa na ziemię. Żeby grosz zrobiła, trzeba, żeby ktokolwiek ją wypił. Żyd chłopca do tego wypicia wszelkimi sposobami zachęca, bo jeśli tego nie zrobi przez pana jego zginie. Wypędziwszy zupełnie żydów, jak waszmoście w głosach swoich proponowaliście, gdzie znajdziemy krawca, szklarza, blacharza, kotlarza? Gdzie znajdziemy codzieli nam potrzebnych rzemieślników? Gdzie na wsi rzemieślnik chrześcijanin?

„A i po miastach naszych nie tak ich wielu. Jeżeli usuwać żydów — to usuńmy ich tylko z karczem i szynków naszych; tam oni szkodliwi. Ja tak dawno zrobiłem i dobrze mi z tem. Ci ludzie, nie mający roli, z zarobionego grosza żyć muszą i na ten grosz, jak umieją, pracować. Na całym podobno świecie rozumniejsi oszukują głupich; takie to powszechne prawo. Zróbmy i włościan naszych rozumniejszymi, chociażby dlatego, żeby się tak łatwo oszukiwać nie dali. Dotąd szlachcic nawet bez żyda, jak dawniej, bez szabli, ani kroku dać nie może i bez niego w połowie tylko jest szlachcicem. Dajcież waszmoście środki, żeby się bez żydów obejść można było, któż się na nie nie zgodzi? Ja, starzec, jedną już nogą w grobie stojący, wiem, że przyszłych nie doczekam obrad, ale w dzisiejszym stanie rzeczy pojąć nawet nie mogę wiejskiego życia bez żyda i powiadam, że nie dosyć jest krzyczyć: „wypędzić żydów, powiesić żydów“, żeby tak trudną sprawę załatwić. Nie dosyć jest tak krzyczyć, a w duszy może co innego myśleć i co innego robić. Trzeba wprzód chrześcijan do tego wprawić, czem z prawdziwym dla nas pożytkiem zajmują się żydzi. Każdy z nas i teraz, jadąc tutaj, po drodze zajechał do karczmy, przez chrześcijanina trzymanej, znalazł tam tyleż pijaństwa, toż samo niechlujstwo, oszukaństwo i zdzierstwo, ale w chrześcijaninie tej uprzejmości, tej żydowskiej dobrej chęci w gotowości na usługi najpewniej nie znalazł. Dlatego też chociaż ja dzisiaj bodaj, czy nie czterdziesty już w życiu mojem raz sejmikuję i chociaż, ani jednego razu nic dobrego z obrad i narad naszych nie widziałem, powiadam tą razą, że moda krzyczenia na żydów jest modą, próżnym słów brzękiem i że chłopiec nasz nie tyle od żydów, co od nas samych ginie. A teraz, dziatki, radźcie, jak umiecie, ale pożytecznych ludzi wypędzać zupełnie radzić wam nie mogę.

„P. Wojdyło (z zapalem): A ja powtarzam, mostobrodzieju, wypędzić tych niedowiarków z kretesem i kwita! Co mi tam żyd! Oto!... i kwita.

„P. Wirpsza (również rozszrożony). I ja głosuję za panem regentem. Wypędzić tych szelmów na sam koniec świata, gdzie pieprz rośnie... i dosyć! To zguba naszego chłopca i nasza! To pijawki, co wszystką krew ciągną!“

Wojdyłło w toku dalszych obrad jaknajogólniej gardłuje za natchmiastowem wypędzeniem Żydów, ale gdy starosta proponuje podpisanie projektu „wypędzenia Żydów z karczem i szynków, gdzie oni dotąd właśnie najszkodliwsi się okazują“ tenże sam Wojdyłło w najwyższym zdumieniu, z nieukontentowaniem pyta: „Jako mostobrodzieju? Ja mam wypędzić moich Żydów z karczem i szynków moich“. Podrażniony zaś dalej tak prawi: „Ja? mostobrodzieju? Nigdy! Ja tego nigdy nie podpiszę i kwita. A co ja zrobię z propinacją moją bez żyda? Wco się ja obrócę? żebym ja Żydów z karczem moich wypędzał! To chyba szanowne zgromadzenie chce mnie przyprowadzić do torby i kwita! Nie nigdy! i kwita. Ja co innego mostobrodzieju rozumiałem... i kwita! Słowo wiatr! i kwita! Ja się dobrowolnie na ubóstwo i nędzę własną nigdy nie zgodzę! i kwita!...“

Inny szlachcic „P. Kurdziukiewicz (przystając gryźc paznogie) tak mówi: Ja, to jest niby, zgodzić się i podpisać tego nie mogę, (podnosząc głos z deklamacją): bez wołającej, to jest niby, o pomstę do Boga krzywdy i żony i dzieci, to jest niby, moich! Wtem ja, widzę zupełny upadek mojej drobnej, niby fortuny! Muszę dbać o los mojej krwi. Pan Bóg mnie licznem pobłogosławił potomstwem. Trzeba dać wychowanie dziatkom, to jest niby, moim, bo to i Pan Bóg przykazał. Wypędziwszy Żydów z szynków i karczem, zostanie bez sposobu, bez grosza! Podpisując, to jest niby, ten akt, wykopałbym własnymi rękami grób mojego majątku!... to jest niby!... Nie!... proszę darować“.

Tak to się szczerze rozwiązały języki szlachty — gdy chodzi o zysk to i żyd-pijawka jest potrzebny, a nawet niezastąpiony.

A teraz na zakończenie parę liczb podanych przez Baranowskiego¹⁾: „Gorzelnia, dystylarnia i browar znakomicie opłacały się zarządowi dóbr puławskich: w roku 1798 z ogólnej sumy 192 tysięcy złotych dochodu brutto, jaki dał cały klucz Końskowolski, wypadało jako dochód z propinacji i wynajmu karczem około 127 tysięcy złp.: czysty dochód z browaru i gorzelnii osiągał sumy 67 tysięcy złp.“

Magnackie fortuny i szlachecki dobrobyt w znacznej mierze opierały swe dochody na pańszczyźnianej pracy rozpajanego chłopca. „Zatrute źródło dochodu“ degenerowało cały naród — wielki czas nawrócić z drogi, którą kroczyli nasi pradziadowie i dziadowie. Teraźniejszość woła o naprawę życia, o jaśniejszą przyszłość.

Hanna Natęcz-Ostrowska Szymańska.

Dalszy ciąg nastąpi.

PRZEZ PRYZMAT SĄDU.

III.

W czasie, kiedy Aleksander Majewski został przytrzymany przez policję śledczą, Marja Żeleźniakówna i Stanisław Kopczyński odbywali karę więzienia za rozpowszechnianie fałszywych monet dwu, pięcio i dziesięciozłotowych.

¹⁾ Ignacy Baranowski: „Wieś i Folwark“. Studja z dziejów agrarnych Polski. Warszawa, 1914, str. 298.

Gdy dwa lata temu agenci otoczyli willę Izaaka Bornsztajna w Złotowie, opuszczoną przez właściciela i pozostawioną opiece Aleksandra Majewskiego, Marja żeleźniakówna zajęta była sprzątaniem piwnicy, w której mieściło się prymitywne laboratorium chemiczne, a Stanisław Kopczyński przecierał pluszowym gałgankiem świeżo wykonane monety. W toku śledztwa zgodnie zeznali,—nie mając możliwości uprzedniego porozumienia się z sobą — że Aleksander Majewski od dłuższego czasu zajmował się wyrabianiem fałszywych pieniędzy, a oni, to jest Marja żeleźniakówna i Stanisław Kopczyński, dostarczali gotowy towar ludziom nieznanym sobie, a wskazanym przez Majewskiego. Później — skazani wyrokiem prawomocnym — odbywali wyznaczoną im karę, a Aleksander Majewski w ciągu dwu lat ukrywał się przed wymiarem sprawiedliwości.

Na rozprawie głównej przeciwko Aleksandrowi Majewskiemu, postawionemu w stan oskarżenia z artykułu 175 § 1 i 177 kod. pos. karn., Marja żeleźniakówna i Stanisław Kopczyński — sprowadzeni z więzienia w charakterze świadków — zmienili swoje poprzednie zeznania. Twierdzą teraz, że, obciążając Aleksandra Majewskiego, działali w porozumieniu i kierowali się motywem osobistej zemsty. Majewski był kochankiem matki Marji żeleźniakówny, Anny, ekstancerki, występującej jeszcze kilka lat temu w podrzędnych lokalach rozrywkowych. Poznali się we Lwowie, a ona, Marja, była wówczas malutką dziewczynką. Lubiła swego przybranego ojca, który przynosił jej cukierki i owoce. Opowiadał zwykle ciekawe historie o dalekich krajach, które zwiedzą, gdy matka otrzyma korzystne engagement. Cały dzień spędzali w domu, a wieczorem już nie pani żeleźniakowa, ale Zuzanna Grey tańczyła w modnych lokalach, które w każdym mieście nazywały się jednakowo. Aleksander Majewski nie opuścił ani jednego występu, pił w bufecie wino albo wódkę, zależnie od usposobienia i możliwości finansowych, a nad ranem wracał z Anną do domu. To późne wracanie budziło Marję, która otrzymywała wówczas od ojczyma słodkie i pocałunki, pachnące winem. Tak żyli kilka lat, Marja rosła, a na twarzy Anny pojawiły się zmarszczki. Jej dzielne nogi, które umiały zapewnić byt dorosłemu mężczyźnie, były bardzo spracowane i pragnęły wypoczynku. Mężczyzna pił wódkę i opowiadał o zmarnowanym życiu, które mógł poświęcić innym silniejszym nogom, zdolnym ofiarować mu przyszłość bez trosk, o której marzył. Marja miała wtedy trzynaście lat i pewnej nocy — gdy Zuzanna Grey tańczyła czymś obcym oczom — została kochanką swojego ojczyma. Jakoś to się między nimi ułożyło, ale zaraz po tem przyszły wielkie nieszczęścia. Anna zachorowała, o pracę było trudno, życie domowe stawało się coraz bardziej nieznośne. Wreszcie przycisnęła ich nędza zupełna. Marja musiała iść z domu po swój własny, oddzielny los, i nie szukała go zbyt długo. Bezdomność, jakieś przewinienia zwykle i codzienne w tem koczowniczym, niepewnym życiu, potem sąd, dom poprawy, z którego ciągle się ucieka i do którego powraca się niezmiennie. Po kilku latach odnalazła matkę i ojczyma. Mieszkałi w willi Izaaka Bornsztajna, ona stara już zupełnie i schorowana, on ciągle pijany, zły, tyranizujący otoczenie, zupełnie inny człowiek, niż ten, którego pamiętała z czasów wczesnego dzieciństwa. Życie z nimi stało się wkrótce nie do zniesienia i ona,

mszcząc się za doznane krzywdy, skorzystała z pierwszej sposobności, żeby fałszywie oskarżyć ojczyma.

A Stanisław Kopczyński miał również w tem oskarżeniu swój osobisty interes. Mówi, że Majewski uwiódł mu żonę, i że jeszcze inne krzywdy ma na swoim sumieniu, ciężkie przewinienia wobec najrozmaitszych ludzi, którzy okazali mu zaufanie i pomagali w jego brudnych sprawach. Dlatego złożył wówczas wspólnie z Marją żelazniakówną to fałszywe zeznanie, ale obecnie sumienie ich ruszyło, darują wszystkie dawne krzywdy, mścić się nie chcą i samą prawdę teraz zeznają, żeby duszy własnej skazaniem człowieka niewinnego nie obciążać. Ale na pytanie Sądu, któż wobec tego te fałszywe pieniądze robił, nie potrafią powiedzieć nic konkretnego. Mówią, że ludzie jacyś ciągle do Majewskiego przychodzili i że to oni właśnie, pod nieobecność gospodarza i bez jego wiedzy i zgody, w piwnicy małą fabryczkę założyli, monety srebrne wyrabiali, które później żelazniakówna i Kopczyński odnosili jakimś ludziom, sobie zupełnie nieznanym, albo puszczały w obieg na targach i w małych sklepikach. Ale co to byli za ludzie? Kopczyński podaje jakieś nazwiska, ale dochodzenia policyjne, przeprowadzone w czasie między rozprawą w Sądzie Okręgowym a apelacją, wykazały, że wogóle takich ludzi na terenie Złotowa nie było, że nie są znani nie tylko policji, ale i urzędowi meldunkowym, oraz okolicznej ludności.

Kim jest Aleksander Majewski? Widzimy go w najrozmaitszych okresach życia, a chociaż nie może sobie zaskarbić naszej sympatji, zasługuje na trochę współczucia. Jest to życie dziwnie nieudane, zawikłane w trudnych do wytłumaczenia sprzecznościach. W miarę zeznań świadków widzimy już nie jednego, ale kilku Majewskich, a każdy z nich ma swoją własną prawdę, inną zupełnie niż ta, którąśmy przed chwilą słyszeli. Jest przecież matka, która z jakiejś zapadłej wioski do stolicy przyjechała, żeby swoje matczyne prawdy Sądowi przedstawić. Więc, że to dziecko było ciche i najlepsze, uczące się dobrze i że ona wierze jakieś ma tu przy sobie, utwory pięknie rymowane, które jej Oleś pisał. I że w wierszach tych było o Bogu i o kwiatach, o synowskiej miłości i o Polsce - ojczyźnie niewolnej wówczas, i jeszcze jeden wiersz był taki, co po łacinie się nazywał „Ad astra”, a co po polsku „do gwiazd” znaczy. I pisemko uczniowskie zostało z tamtych dawnych czasów, w którym wiersze Olesia były, ideowe deklaracje jakiegoś o sprawiedliwości powszechnej, o moralnej przebudowie, o solidarności i miłości wzajemnej w narodowym życiu i o wielu innych sprawach. Ona doskonale pamięta, jak to Oleś szkoły ukończył, jak pan dyrektor zdolności jego chwalił, za wzór innym stawiał i przyszłość piękną przepowiedział. A o tej przyszłości, którą oto Sąd ma przed oczami w wymownym skrócie, w odpisach wyroków prawomocnych, którymi Aleksander Majewski na terenie Rzeczypospolitej Polskiej był wielokrotnie skazany, ona nie wiedzieć nie chce, nie dopuszcza do siebie tych słów potwornie krzywdzących, w sprawiedliwość ludzką nie wierzy i Bogu tylko życie swojego syna poleca. A dlaczego ona tę sprawiedliwość za nic ma, to chyba zrozumiałe i jasne. Gdy Polska wolna powstała, jak to Oleś już na kilka lat przedtem w swoich wierszach przewidział, wrócili oboje do kraju, on płonący myślami o wielkich czynach, o mądrych reformach, które zjedną mu sławę wielką i wdzięczność współczesnych, ona wy-

grzewająca się już w blaskach synowskiego splendoru. Ale jakoś nikt nie okazywał specjalnego zainteresowania dla tych zbawiennych projektów, dla reform, które miały zapewnić narodowi szczęście i dobrobyt. Wprawdzie z początku odbywały się jakieś konferencje w prywatnych mieszkaniach, w restauracjach i kawiarniach, z których Oleś wracał nieraz nad ranem, rozpromieniony, wymowny i niedwuznacznie pachnący alkoholem, ale z rozmów tych nie wynikało nic konkretnego, a złote pięciorublówki, pozaszywane w gorsetach pani Majewskiej i tym sposobem przed łapczywością bolszewików uratowane, topniały z dniem każdym. Wreszcie wszystkie gorsety zostały starannie powypruwane i Aleksander Majewski musiał zabrać się do pracy zarobkowej. To była pierwsza krzywda, jaką niewdzięczne społeczeństwo wyrządziło genialnemu Olesiovi. Trzeba było zrezygnować z tych przywilejów, które zapewniały mamine pięciorublówki. Okazało się, że jednocześnie z pozbawieniem ostatniego gorsetu jego brzęczącej zawartości, zwolennicy ideologii Aleksandra Majewskiego pozostawili swego duchowego wodza w zupełnym osamotnieniu. Praca, którą otrzymał w jakimś urzędzie, stała się czemś niedozniesienia. Pani Majewska z oburzeniem mówi o tem, jak to jacyś małostkowi i przewrotni ludzie wmieszali Olesia w brzydką aferę kryminalną, która zmusiła go do porzucenia dotychczasowej pracy.

(W tem miejscu zeznań Waławy Majewskiej, matki oskarżonego, — na wniosek prokuratora — Sąd ustala, że w czasie przez nią omawianym Aleksander Majewski skazany był wyrokiem prawomocnym na trzy lata więzienia z artykułu 286 — § 1 i 2 — kod. post. karn., który brzmi: „Urzędnik, który, przekraczając swą władzę lub nie dopełniając obowiązku, działa na szkodę interesu publicznego lub prywatnego, podlega karze więzienia do lat pięciu. Jeżeli sprawca działa w celu osiągnięcia korzyści majątkowej lub osobistej dla siebie lub innej osoby, podlega karze więzienia do lat dziesięciu“).

Po tym wyroku, który rozwił życiowe nadzieje Waławy Majewskiej, trzeba było wyprowadzić się ze stolicy i zamieszkać w głuchem prowincjonalnem miasteczku. Trzy lata czekała na powrót syna i doczekała się go wreszcie, steranego życiem więziennem, ale zawsze tego samego Olesia, kochanego tak bardzo i tak niezastulenie. Kilka miesięcy żyli razem, a potem Aleksander Majewski wyjechał do Lwowa, a później do innych miast i tylko od czasu do czasu przysyłał długie listy, czasami sam przyjeżdżał, zawsze na krótko, zawsze jakby w gorączce, w nastroju przygód i zamierzeń, które gdzieś się realizowały i otwierały przed nim niezwykle możliwości. W czasie jednej z tych wizyt padło nazwisko Zuzanny Grey.

— To była niewdzięczna, do gruntu podła kobieta! — zeznaje matka oskarżonego. Mówi, że ma listy syna, świadczące o bezinteresownej trosce w zajmowaniu się jej losem. W listach tych było, że znalazł ją z dzieckiem na ulicy, w nędzy niewypowiedzianej i ostatecznej bezradności; że przygarnął ją i pokochał, zdolności do tańca w niej odkrył i na własny koszt kształcił. Dziecko, kilkuletnią Marję, uważał za swoje własne, do szkoły jakiś czas posyłał, a nawet do nazwiska swego chciał przyjąć. Ale potem złe skłonności się w niej odezwały, z domu uciekła i włóczyła się z chłopakami, aż sąd ją wreszcie w domu popra-

wy umieścił. A Zuzanna Grey — naprawdę to się ona żeleźniakowa Anna nazywała — gdy jej się wieść zaczęło lepiej, rzuciła Olesia, innego mężczyznę sobie wzięła, a Olesz z tej żalości rozpił się zupełnie, jakąś tam swoją pracę zaniedbał i w biedzie został wielkiej. Co się więcej u nich działo, tego już nie wie. Ostatniemi czasy nie miała żadnych wiadomości od syna i dopiero z wezwania sądowego o wszystkim się dowiedziała, a później to i gazety o tem pisały.

Ale zaraz przeciwko tej matczynej prawdzie występuje prawda inna. Anna żeleźniakowa, w tamtych latach Zuzanna Grey, też ma tutaj swoje słowo do powiedzenia. Poznała Majewskiego we Lwowie. Nie była ani w nędzy specjalnej, ani w nieszczęściu. Mąż jej wprawdzie umarł, zostawił małą dziewczynkę i trochę niepopłaconych długów, ale ona sobie z tem radę dała. Miała ładne, zdrowe nogi i sporo inteligencji. Poduczyła się jakichś tanecznych kawałków, do związku się zapisała, a tam już jej dawali kontrakty do różnych miast: co miesiąc w innym mieście. Tak sobie podróżowała po całej Polsce z małą córeczką, o przyszłość niebardzo dbająca, ufna w swój spryt życiowy i talent do scenicznego rzemiosła. Miała nawet książeczkę P. K. O. i jakieś drobne sumki na nią składała, ale to nie tyle z myślenia o przyszłości, ile z tego, że nie lubiła na siebie wydawać. Teraz jest już schorowana i stara, nie latami zresztą, ale tem życiem w niepewności ciągłej, w panicznych ucieczkach przed losem, który ją wszędzie dosięgał. Wówczas, jak to wynika z opowiadań świadków, przed dziesięciu czy dwunastu laty, kwitła świeżym urokiem, ufnością wobec świata, który pozwolił jej pracować i żyć w zwykłym ludzkim zadowoleniu, w nieświadomości tych spraw tragicznych, które kładą się zmarszczkami na młodych twarzach i odbierają oczom ich złoty blask. Taka była wówczas Zuzanna Grey i taką ją poznał Aleksander Majewski, rozbitek, myślący o ratunku.

Sytuacja Aleksandra Majewskiego przedstawiała się wręcz rozpaczliwie. Żadnych widoków na przyszłość, brak najskromniejszej nawet pracy, a obok tego szalona ambicja, głębokie przeświadczenie, że jest powołany do innego, lepszego życia, że przedstawia sobą jakieś wartości, przez ludzi niedostrzegane, a jednak konkretnie istniejące i zupełnie niezwykłe. Takie przeświadczenie może być czemś trudnym do udźwignięcia nawet dla silnej indywidualności; Majewski był człowiekiem słabym. Dał się uwieść idei manjackiej, postawił siebie w centrum urojonego systemu wielkości, który usprawiedliwiał jego nędzne życie. Od dzieciństwa nosił w sobie myśl o wielkiej moralnej czystości, o cnocie, jako najwyższym ideale osobniczego i zbiorowego życia, o etycznym imperatywie w działalności politycznej. Żadnego z tych ideałów nie udało mu się zrealizować, jego egzystencja była zupełnem zaprzeczeniem tych idei nadrzędnych, które tworzą idealistyczną nadbudowę w duszy człowieka. Teraz trzeba było te rzeczy pogodzić z sobą, poprostu dlatego, żeby móc żyć. I tutaj przychodzi mu z pomocą myśl o wielkości. Taka myśl rozgrzesza. Wolno już być w niezgodzie z normami etycznymi, które obowiązują w ludzkim zbiorowisku, wolno wyłamywać się z pod praw powszechnie przyjętych, wolno cudze życie wykorzystywać, zniszczyć i odrzucić jak rzecz niepotrzebną. Wszystko to się robi dla jakiegoś wyższego pożytku, dla jakiejś ogromnej korzyści, dla wyniesienia własnego mocą władczych przywilejów, zawartych w systemie

wielkości. I tutaj nie pomogą proste, nagie fakty, ani konkretne zdania. Nic nie pomoże pewność, że Aleksandrowi Majewskiemu chodzi nie o wielkie ideowe sprawy, ale o wygodną egzystencję, o wykwintne mieszkanie, o piękne dziewczęta. Obłudna interpretacja faktów pozwala mu nie widzieć tych rzeczy; — pozwala mu żyć.

Anna była dojrzała do przyjęcia wszelkich mętnych idei i patetycznych słów. Kilka lat żyła zupełnie sama, musiała troszczyć się o siebie i o małą Marję, nikt się nią specjalnie nie interesował, nikt nie powierzał jej sercu swoich wyłącznych uczuć, ani głębokich osobistych spraw, stanowiących o wspólnym losie. Była bardzo małego mniemania o sobie, a ludzie, których w swoim życiu spotykała, przedstawiali się jej oczom jako istoty godne najwyższego szacunku, wobec których ona, Anna, jest czemś niesłychanie mizernem. Żyła w świecie, któremu większość społeczeństwa okazuje trochę podejrzliwego zaciekawienia i wiele słusznej niechęci. Stykała się przeważnie z agentami, którzy pośredniczą przy zawieraniu kontraktów, z kierownikami przygodnie skompletowanych zespołów „artystycznych“, kochała się w jakimś impresarju zpod ciemnej gwiazdy, który pojawił się nagle i równie szybko zniknął, miała wielu przygodnych kochanków, ludzi bez nazwisk, bezimiennych mężczyzn, którzy standaryzowanym towarem wypełniają sale nocnych lokali, i to płaskie, beztreściwe życie poniosła z sobą w zafaszowanym wspomnieniu jako coś niezwykle cennego, i była wdzięczna swojemu przeznaczeniu, które jej, zwykłej śmiertelniczce, pozwoliło oddychać powietrzem Olimpu. A tutaj nagle znalazł się ktoś, kto nie tylko raczył ją dostrzec i wyróżnić wielkiem zainteresowaniem i specjalną uwagą, ale zechciał swoje osobiste i niezwykle sprawy uczynić ich wspólnymi sprawami. Anna otwierała się słowom, które uskrzydlały jej egzystencję. Niewiele rozumiała z długich i napszonych tyrad, które wygłaszał Aleksander Majewski między jednym a drugim kieliszkiem, nie starała się nawet zrozumieć tych spraw niezmiernie zawiłych, wiedziała tylko jedno, że człowiek, który tak wspaniałomyślnie przyjął jej stęsknione serce, ten człowiek ukochany nad wszystko, jest w nieszczęściu wielkiem i potrzebie. Wiedziała, że dzieje mu się ogromna krzywda, temu kochanemu człowiekowi, któremu życie powinno słonecznie się uśmiechać! Więc teraz jej zadaniem będzie uczynić to życie możliwie najmiłszem, ona się już postara, żeby żadna powszednia troska nie kładła się zasępieniem na jego czole, pod którym dojrzewa tyle wspaniałych myśli.

Z tych czasów zostały bardzo ciekawe notatki, rachunczki drobne, niewprawną ręką Zuzanny Grey spisywane. A więc, na pierwszej stronie zeszytiku był napisany miesiąc taki a taki, potem, dużemi literami: zarobki: kontrakt — 800 zł. i zarobki uboczne, przypuścmy w miesiącu kwietniu, złotych 350. Jakże to Anna te 350 złotych dorobiła? A no, sama przyznaje, niebardzo to piękne zarobkowanie było, ale przecież wydatki też były, dużo wydatków. Tylko na następną stronę zeszytiku spojrzeć trzeba, a wszystko jest wyszczególnione wysokimi kolumnienkami cyfr. Więc najpierw agentowi, co kontrakt wyrobił, złotych 100, mieszkanie i życie jej i córeczki złotych 150, potem jakieś kolacje, w lokalu jedzone, 75 złotych, razem złotych 325. A reszta? Reszta — 825 zł.—pod jedną pozycją zapisana, pod jednym imieniem: Oleś. A więc ubrania Olesia i bielizna jedwabna, krawaty po 20 zł. sztuka,

wina jakieś, likiery i wódki, któremi Oleś podejmował swoich przyjaciół, ludzi z „wielkiego świata“. I tak kartki przewracają się miesiącami: jedna kartka — jeden miesiąc, a razem okrągłe sześć lat. A im bliżej końca, tem jaśniej widać, jak trudno było z temi pieniędzmi, jak wymagania Olesia rosły, a wydatki na Marję kurczyły się i w ostatnich miesiącach nie przekraczały pięćdziesięciu złotych. I kontrakty nie tak korzystne były i już nie 800, ale 500, 300, 200 złotych przynosiła Anna ze swego nocnego zajęcia; „zarobki uboczne“ stały się podstawą domowego budżetu, ale i tych jakoś coraz mniej było i wtedy to Oleś powiedział, że ona nie tancerka jest żadna, ale kur.. i że on z taką żyć nie chce i żeby sobie na zbitą mordę szła!

A zeszytik ten przyniósł i Sądowi wręczył Izaak Borsztejn. Skąd go ma? — Skąd ma? Toż przecie całe życie pięćdziesięcioletniego Izaaka płynęło jednym słowem, jednym imieniem: Anna. Więc: myśli, zamiary, poczynania, pieniądze, wszystko — Annie; więc: jak, kiedy, dlaczego, muszę, z tobą, na zawsze — Anno! — I pamiąteczki jakieś, kwiatuszki, chusteczki, wszystko, co było kiedyś Anny a nikomu nie było potrzebne — chowała, a słowa, jakie tylko były mówione, — pamiętała. I teraz z tem wszystkim dawnem, bolesnem i najżywiej obchodzącem do Sądu przyszedł i świadczyć chce i prawdę swoją Sprawiedliwości Najwyższej przedłożyć. Więc kiedy poznał Annę, była już z Aleksandrem Majewskim, a tak wówczas wyglądała, jak tylko ludzie szczęśliwi wyglądać mogą. I Marji wiodło się dobrze i ojczyrna swego kochała, bo przecie dziecku niewiele potrzeba: cukierków trochę i pocałunków. Ale on, Izaak Borsztejn, stary, głupi żyd, wiedział, że to się musi niedobrze skończyć. Bo któż to ten Majewski był? że niby wykształcenie jakieś miał, że słowa umiał pięknie dobierać? To może dla kobiet wystarczy, ale ja się pytam, co on kiedy takiego zrobił, coby znaczenie jakie miało i uznanie ludzkie znalazło? Nic! A i przeszłość włóczyła się za nim niedobra i o wyrokach jakichś mówiono, — ale Anna głucha była i ślepa i poza miłością swoją niczego niewidząca. A cóż ona z tej miłości dla siebie miała? Chyba tylko pracę i trud. Dzień w domu na gospodarskich zajęciach spędzała, nocę w lokalu, a jak trochę czasu wolnego znalazła, to jeszcze te „dodatkowe zarobki“ odsłużyć trzeba było. A Majewski jednego potrzebował: pieniędzy. Skąd się brały — nie pytał. Każdy pieniądz był jednakowo dobry. A on, Izaak Borsztejn, musiał na to patrzeć—i patrzył, i nic nie mógł poradzić, chociaż na jakieś szaleńcze czyny się zbierał, błagał i tłumaczył, policję Majewskiemu groził i rewolwer nawet chciał kupić, tylko że do tego kupna jakoś nigdy nie doszło. A potem choroba Anny i to jej przedwczesne wzięcie sprawiły, że z Majewskim kłótnie się zaczęły i nieporozumienia. Więc o to, że pieniędzy coraz mniej, że zobowiązania jakieś honorowe płacić musi, że przyjaciół przyjąć trzeba, ludzi życzliwych, od których wiele zależy, cała jego przyszłość, o którą ona, Anna, dbać powinna i troszczyć się najusilniej. Więc znów się podrywała do pracy, ostatkami sił goniła, a czasami, gdy nagwałt pieniędzy trzeba było na jakiś poczęstunek koleżeński, czy na hulanke, to — żebym tak jutra niedoczekał — na róg szła jak pierwsza lepsza! A jak z marnym groszem stamtąd wróciła, z dziesiątką jaką, czy dwudziestką, to zdarzało się, że kijem ją spowrotem przepędzał i nie puścił do domu, aż pięćdziesiątkę przy-

niosła. A pod koniec ich wspólnego życia często się takie rzeczy działy i Marja patrzyła na to i ja patrzyłem i nic nie mogłem poradzić.

Opowiadanie Izaaka Bornszejna ciągnęło się przeszło godzinę, ale nie wniosło już nic nowego do sprawy. Ostatnie dwa lata pożycia Anny żeleźniakowej z Aleksandrem Majewskim, który rozpił się zupełnie, przyniosły ucieczkę Marji, jakieś nagłe wyjazdy i nieoczekiwane powroty Anny, — wreszcie nadszedł okres kilkuletniej rozłąki, po którym Anna i Aleksander Majewski spotkali się znowu i zamieszkali w domu Izaaka Bornszejna. Później zjawiała się Marja, a niedługo po jej przyjeździe, na skutek konfidencjonalnych doniesień, policja przeprowadziła rewizję w podejrzaney willi, w wyniku której aresztowano Marję żeleźniakównę i niejakiego Stanisława Kopczyńskiego. Zeznania, które złożyli na rozprawie głównej przeciwko Aleksandrowi Majewskiemu, a które miały go uchronić przed karą, nie były poparte żadnemi dowodami. Materiał, zebrany w śledztwie pierwiastkowym, ustalił niezbicie winę oskarżonego. Jakiemi pobudkami kierowali się świadkowie, starając się odciążyć Majewskiego, tego przewód sądowy dostatecznie nie wyjaśnił.

Późnym wieczorem Sąd Okręgowy ogłosił sentencję wyroku, mocą którego Aleksander Majewski, oskarżony z artykułu 175 § 1 i 177 kod. pos. karn., skazany został na 6 lat więzienia oraz pozbawienie praw obywatelskich i honorowych na przeciąg lat dziesięciu.

Michał Klimowicz.

PROFESOR M. ROSE O „POPIELISKU“.

Profesor Maksymiljan Rose nadesłał na ręce Redakcji „Trzeźwości“ do Autorki „Popieliska“, p. Zofji Herwichowej list następujący:

Wilno, 12.VI. 35 r.

Wielce Szanowna Pani!

Laskawie zaofiarowaną mi książkę Pani przeczytałem z wielkiem zainteresowaniem. Wszyscy, którzy zdają sobie sprawę, jakie tragiczne spustoszenia sprawia alkohol w życiu rodzinnem i społecznem i którym dobro tego życia leży na sercu, muszą być Pani wdzięczni za poruszenie tego tematu.

Proszę przyjąć wyrazy mego prawdziwego poważania

M. Rose.

ALKOHOL, A DŁUGOŚĆ ŻYCIA.

Już dawno zwrócono uwagę na związek alkoholizmu z długością życia ludzkiego. — Nic dziwnego, bo przecież widzącemi oczyma patrzano, jak po pijanemu jedni drugich zabijali w szynkach i podczas domowych libacyj, jak inni pijani, lub podchmieleni ulegali śmiertelnym, nieszczęśliwym wypadkom, a wreszcie nie mogło się ukryć zaniechanie zdrowia u pijących, oraz charłactwo ich dzieci.

Potwierdzenie wniosków z codziennej obserwacji życiowej znalazło się w licznych i różnorodnych badaniach statystycznych. Z pomiędzy nich dużo mówią cyfry angielskich Towarzystw ubezpieczeń na życie. Okazało się tam wyraźnie, że aczkolwiek także pijakom udaje się czasem dożyć późnego wieku, to jednak wśród ubezpieczonych abstynentów było znacznie więcej ludzi umierających w latach najwyższego dożywania człowieka, niż w grupie używających alkoholu.

W dziedzinie badań nad związkiem alkoholizmu z długowiecznością prawie zupełnie brak wiadomości z Polski. W okresie rozbiorowym części Polski wliczano w statystykach do państw obcych; w latach zaś powojennych dopiero od roku 1927 na przestrzeni całej Polski ujednoczono takie prowadzenie zapisków urodzeń i zgonów, które daje podstawę do obliczeń i odpowiednich zestawień.

Dane Głównego Urzędu Statystycznego, podającego w starannem opracowaniu analizę urodzeń i zgonów, w dużym stopniu dopomagają między innymi do uchwycenia związku śmiertelności z alkoholizmem.

Miernikiem stopnia alkoholizmu jest w Polsce spożycie wódki, względnie 100^o alkoholu w wódce. Od szeregu lat obserwujemy stałe zjawisko towarzyszenia wódce innych napojów alkoholowych do tego stopnia, że już nawet nie badając cyfr spożycia innych napojów napewno można przyjąć, że gdy się zmniejsza lub zwiększa spożycie wódki, to w tym samym roku zmniejsza się, względnie zwiększa spożycie piwa i innych napojów, a także przywóz zagranicznych napojów alkoholowych. Chcąc więc ze spożycia napojów alkoholowych wnioskować o długości życia, wystarcza najzupełniej poznanie stopnia spożycia 100^o alkoholu w wódce.

Według danych Dyrekcji Państwowego Monopolu Spirytusowego spożycie 100^o alkoholu w wódce przedstawia się następująco:

Rok	1926	1927	1928	1929	1930	1931	1932	1933
Spożycie 100 ^o alkoholu w litr.	428,369	398,702	475,194	481,140	373,430	277,390	228,090	250,880

Główny Urząd Statystyczny podaje cyfry zgonów, których wysokość w poszczególnych latach jest zmienna, podobnie jak stopień spożycia alkoholu. Poczynając od roku 1926 było w Polsce:

W roku	1926	1927	1928	1929	1930	1931	1932	1933
Zgonów	533,020	525,653	504,207	518,928	488,417	494,893	487,125	466,210

Ustawiwszy obok siebie cyfry spożycia alkoholu i zgonów, spostrzegamy (Rys. 1) z niewielkimi wahaniami równoległość liczby zgonów ze spożyciem alkoholu. Wszczególności uderzający jest spadek zgonów od roku 1930 do roku 1933 równocześnie z obniżeniem spożycia alkoholu.

Spadek spożycia alkoholu od roku 1930 tłumaczy się trudnymi warunkami gospodarczymi, ogólnie znanym t. zw. kryzysem, ale trudno przypuścić, by z powodu kryzysu wstrzymywali się ludzie od umierania.

ALKOHOL A DŁUGOŚĆ ŻYCIA

ZGONY OGÓŁEM
SPOZYCIE ALKO
HOLU 100% W WÓDCE



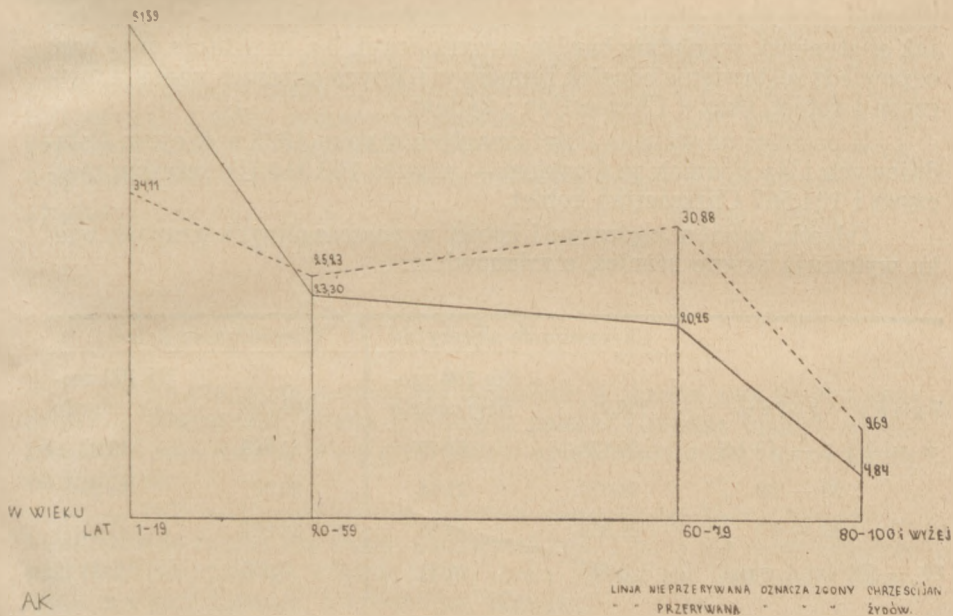
Rys. 1.

nych warunkach zdrowotnych, a równocześnie z obniżką spożycia alkoholu, można przypuszczać, że ta przymusowa, kryzysowa wstrzeźliwość uratowała w tym roku 30.511 osób od przedwczesnej śmierci.

Przypuszczenie takie nie jest bynajmniej fantazją przeciwnika alkoholizmu, wszędzie i we wszystkim wężącego szkodliwość alkoholu, ale do stwierdzenia zależności zmniejszenia się ilości zgonów od spadku spożycia alkoholu uprawniają także inne cyfry statystyki polskiej, podane przez Główny Urząd Statystyczny *).

ALKOHOL A DŁUGOŚĆ ŻYCIA

ODSETKI ZMARŁYCH W ROKU 1928
W WOJEW. ZACHODNICH I POŁUDNIOWYCH



Rys. 3.

Wykazują one szczególnie wyraźnie bardziej ograniczone dożywianie późnego wieku w grupie ludności, hołdującej zwyczajowi picia alkoholu.

*) Małżeństwa, urodzenia i zgony w Województwach Południowych w roku 1926. — Warszawa 1929.

Małżeństwa, urodzenia i zgony w Województwach Zachodnich i Śląskiem w roku 1926. — Warszawa 1928.

Na terenie Województw Południowych i Zachodnich wraz ze Śląskiem w roku 1926 w wieku od 1—100 i wyżej lat, zmarło 224.043 osób, a prócz tego nieznaczna ilość osób zmarła w wieku, który statystyka Gł. U. St. oznacza: „Niewiadomy“. — Gł. U. St. podaje zgony według wieku, płci i wyznania w okresach pięcioletnich; do 1, 1—4, 5—9, 10—14... 95-99, 100 i wyżej lat.

Z pośród bardzo dużej ilości ludzi nietrudno wydzielić grupy bardziej i mniej zalkoholizowane, nawet bez obliczania wypijanego 100^o alkoholu na głowę członka danej grupy. Taka różnica, której nie trzeba wykazywać cyfrą, istnieje między mężczyznami i kobietami, a także między Chrześcijanami a żydami, którzy w Polsce tworzą poważną odsetkę zaludnienia kraju.

Co się tyczy wieku, mogą nas interesować grupy większe, a mianowicie 1—19 lat, t. j. okres wychowania i przysposobienia do samodzielnego życia; 20—59 lat, dojrzały wiek pracy twórczej człowieka; 60—79 lat, okres przejściowy do starości, oraz 80—100 i wyżej lat, wiek późnej starości, na dożywaniu której zależy każdemu żyjącemu człowiekowi.

W sprawie związku alkoholizmu z długością życia chodzi o to, czy istotnie używający alkoholu dożywają bez przeszkód równie późnych lat, jak abstynenci, względnie bardzo umiarkowani. Na to pytanie daje nam odpowiedź zestawienie odsetek zgonów w różnych okresach wieku u mężczyzn i kobiet, oraz u Chrześcijan i żydów.

Z podanej na wstępie ilości zmarłych w roku 1926 w Wojew. Południowych i Zachodnich ze Śląskiem — zmarło 109.914 Chrześcijan mężczyzn i 104.567 Chrześcijan kobiet.

Odsetki zgonów mężczyzn i kobiet w poszczególnych grupach wieku wykazują pewne różnice, a mianowicie:

	Chrześcijanie mężczyźni		Chrześcijanie kobiety	
		Na 100 zgonów zmarło		Na 100 zgonów zmarło
Zgony ogółem	109,914		104,567	
w wieku 1 — 19 lat	59,129	53·79	51,524	49·27
20 — 59 „	24,670	22·44	25,307	24·20
60 — 79 „	21,369	19·43	22,081	21·11
80 — 100 lat i wyżej	4,746	4·31	5,655	5·4

Z pośród wszystkich zmarłych mężczyzn, zmarło w wieku 80—100 i wyżej lat 4,31%, z pośród wszystkich zmarłych kobiet dożyło tego wieku 5,4%, więc kobiety, bardziej wstrzemięzliwe niż mężczyźni, odznaczają się wyższą długowiecznością. Ta różnica w stopniu znacznie wyraźniejszym występuje u znanej ze wstrzemięzliwości ludności żydowskiej w stosunku do ludności chrześcijańskiej, co unaoczniają rysunki 2 i 3.

Na ogólną liczbę 224.043 zgonów, było 214,481 zmarłych Chrześcijan i 9.562 żydów.

Stosunek odsetek w poszczególnych okresach lat jest następujący:

	Chrześcijanie		Żydzi	
		Na 100 zgonów zmarło		Na 100 zgonów zmarło
Zgony ogółem	214,481		9,562	
w wieku 1 — 19 lat	110,653	51·59	3,268	34·11
20 — 59 „	49,977	23·30	2,413	25·23
60 — 79 „	43,450	20·25	2,954	30·88
80 — 100 lat i wyżej	10,401	4·84	927	9·69

Porównanie zgonów Chrześcijan ze zgonami żydów wskazuje wyraźnie wyższą żywotność u żydów. Podczas gdy przeszło połowa zmarłych Chrześcijan zmarła w pierwszym okresie życia, to zgony żydów przesuwają się na lata późniejsze.

U żydów umierają raczej starcy niż młodzież i ludzie wieku dojrzałego do 59 roku życia, a w okresie 80—100 i wyżej lat przewaga żydów jest decydująca.

Jeżeli razem zestawimy fakt zmniejszenia się ilości zgonów wraz ze spadkiem spożycia alkoholu, wyższy stopień długowieczności u kobiet niż u mężczyzn, a także wybitnie łatwiejsze dożywanie późnego wieku u trzeźwych żydów, możemy na zasadzie tych stosunków stwierdzić, że używanie alkoholu rzeczywiście wpływa na skrócenie życia jednostek, a łącznie z tem szybsze wymieranie narodów pijących, niż trzeźwych.

(Lwów).

Mikołaj Skiba.

O M Y Ł K A .

Janina obejrzała jeszcze raz dokładnie w lustrze swą mocno upudrowaną twarzyczkę, starła miejscami palcem nadmiar białego pyłku, poczem, z zadowoloną miną gruntownie upiękzonej osoby, zwróciła się do kuchni.

— Tak, podtrzymuję swą opinię o nieśmiałości Hali. „Trusia“ — to określenie trafne dla ciebie nadzwyczajnie. I parę już osób, zupełnie przypadkowo, takiego właśnie użyło słowa. Ojciec też powiedział ostatnio... A i pan Ziemiński, nieprawdaż, Wandko?

Lekki ruch głową, przeglądającej pismo Wandy, mógłby równie dobrze wyrażać powątpiewanie, co i przytaknięcie. Wertowana w tej chwili z zapalem gazeta była jedynie wygodnym pretekstem, pozwalającym nie brać udziału w możliwej sprzeczce kuchni. Jak zazwyczaj — cała sympatja, czytającej była po stronie „trusi“, nie dla tych wprawdzie cech charakteru Hali, które ją obdarzyły podobnym przydomkiem, ile... Wanda nie chciała sformułować jasno tego powodu. Uważała zań, z niezupełnem zresztą przekonaniem — niechęć, jaką wzbudzało w niej samochwalstwo Janeczki, lecz grała tu rolę raczej zwykła, pospolita zazdrość. Zazdrościła nie zalet, których dopatrzeć się byłoby trudno, ale — warunków materialnych, mogących te zalety doskonale zastąpić

w oczach szerokiego ogółu. że jednak tego lata, jak zwykle, Wanda spędzała wakacje u gościnnych wujostwa — milczała dyplomatycznie.

— Bo przyznaj — ciągnęła Janka, zniecierpliwiona brakiem odpowiedzi ze strony Hali — żebyś była rzeczywiście takim skromnym dziewczętkiem! Ale to tylko pozory. Taka — przekorna chęć wyróżnienia się z całego towarzystwa. Bo znowu twoje nagłe opozycje... Co do mnie...

— Słuchaj, Janeczko! — Hala rzuciła mierzewkę serwetki. — Nie rozumiem, o co ci chodzi. Zarzucasz mi nieśmiałość, ta — bywa wrodzoną cechą charakteru. Ale przytem, gdy uważana jest za wadę, jakże można przypuszczać, żebym udawaniem jakiejś wady sama sobie szkodzić pragnęła. Gdy zaś tylko wypowiem swe zdanie...

— Robisz to zbyt śmiało i ostro, więc dziwne, że postępujesz w ten sposób! Ja znam życie dobrze, więc mogę cię ostrzec... Gdzie lecis, chora jesteś po wczorajszej maślaneczce? Ja ci ją odradzałam, lecz ty...

Drzwi zamknęły się szybko i cicho, czyniąc zadość dobremu wychowaniu, a zarazem — urządzając wymowną manifestację córce gospodarzy.

— Zawsze ekscentryczna — mówi Janka do kuzynki. — Zamiast uzasadnić swe postępowanie, usuwa się od dyskusji. Za głupia jestem dla niej, aby raczyła polemizować! A nie rozumie, że tem dowodzi całkowitej niemożności obrony swych grymasów. Dziwaczne wybryki, fochy — milknie na sekundę pod wciągana przez głowę obcisłą koszulą. — Tyś znowu zaniemówiła? Głupia polityka, coś zupełnie oderwanego od życia i tkwisz w tem zapamiętała...

— Oderwanego? Niebardzo... Przed chwilą Hala zademonstrowała to, wprawdzie niechęć, ale dobitnie... — usta Wandy drgają do śmiechu.

— No, przyznasz chyba — jest niemożliwa To jej milczące obserwowanie otoczenia, jakby była na przedstawieniu prowincjonalnem. A ta historia z winem! Naumyślnie przy panu Ziemskim nie chciała pić wtedy.

— Nie pije przecież nigdy...

— Czy stale jesteś przy niej? To tylko tak, dla zaznaczenia swej odrębności. Przez zazdrość może, że pan Andrzej dbał o napełnianie mego kieliszka, że podziwiał, jak jestem odporna na alkohol! Zauważyłaś, z jakim politowaniem patrzył na nią?

— Patrzył rzeczywiście, ale...

— Z politowaniem, najwyraźniejszym lekceważeniem! Bo pomyśl tylko: my piłyśmy, panny Nagórskie, ta mała doktorów także, a ona jedna... Wyróżnić jej się zachciało! Nawet pan Andrzej wypytywał mnie, czy tak zawsze...

— I powiedziałaś, że nie wiesz?

— Przeciwnie! Zawsze dziwaczką jest straszną, zapewniłam go o tem.

— A mówiłaś niedawno, że nie jesteś pewna...

— Łapiesz za słowa! Jestem pewna, iż nie pije, jestem! Gdy mu to powiedziałam, taką uwagę o niej zrobił, że no! Szepnął: „To dziwne...”

— Nie widzę w tem potępienia!

— Wyraźnie przecież nie mógł nic ubliżającego powiedzieć o mej siostrze ciotecznej. Lecz się domyślam, że ma ją za nienormalną. Dziwne — to znaczy naturalnie... patologiczne. Wiesz, żal mi jej nawet — robi współczującą minę. — O, turkot, pewnie Nagórskie! Pilnik, gdzie położyłaś pilnik do paznokci?! Leży pod stołem! Nieporządna jesteś, doprawdy... Ja rzuciłam? No, drobiazg — każdemu może się zdarzyć... Dobrze mam włosy na karku? Coś tam odstaje... Co mówisz! Napewno odstaje, popraw! — Jak długo grzebiesz, puść mnie nareszcie, zawsze znajdziesz jakieś niedokładności w mej toalecie!

Ostatnie przyciemnienie „szkarłatu“ ust i panna Janka wyfruwa z pokoju, zostawiając patrzącą na nią z wyraźną dezaprobatą — ale ztyłu już — Wandę. Osamotniona — zaczyna pudrować starannie niekształtny, błyszczący nos...

Za firankami okien migają trzy postacie dziewczęce. To Janka prowadzi panny Nagórskie w głąb ogrodu. Nie warto śpieszyć do nich — zbyt jest elokwentną Janeczka, aby ktokolwiek był jej potrzebny do bawienia przybyłych. Przynajmniej — według Janki rozumienia, bo osoby postronne mogłyby chyba poważnie zakwestjonować atrakcyjność, udzielanych przez córkę gospodarzy wiadomości o... kolorze nowych pończoch, wczorajszym braku apetytu, śnie wielce oryginalnym po zjedzeniu na noc placków z surowych kartofli i o... powodzeniu, jakim naturalnie cieszyła się Janka na ostatnim balu w Warszawie.

Wszystkie te myśli Wanfy są zaprawione rozsądną tolerancją. Bieda w domu, małeńka emeryturka ojca, oraz spędzane u krewnych gratisowo lato — nastrajają odpowiednio. Schowawszy do szafy porozrzucane suknie, biegnie pomagać stryjence w szykowaniu podwieczorku. Po drodze — wpada do pokoju Hali.

— Siedzisz, niby borsuk w jamie — stwierdza wesoło.

— Jak widzisz — odpowiada zaszczyczona porównaniem. Trzaskają drzwi. Hala zostaje sama z dokuczliwymi myślami, wśród których niedawno usłyszana wzmianka o panu Ziemskim odgrywa główną rolę.

Z racji obecnych już i mających nadjechać jeszcze gości — trzecia panna pudruje się zapamiętałe, uległszy zwyczajowej epidemii. Patrząc w czasie tej czynności w lustro, wspomina niedawne zniecierpliwienie, jakie czuła na widok maquillage'u Janki. Czyżby zdradzała brak samokrytycyzmu także w odniesieniu do całości swego postępowania i widziała jedynie wady u innych? Może ma Janka rację, że nieśmiałość „trusi“ jest rezultatem rzeczywistej zarozumiałości, chęcią odosobnienia się w poczuciu jakichś zalet specjalnych... O, chyba nie! Bo to poczucie nieznośnego rozdźwięku między myślami, a formą ich wypowiedziania! Ten krytycyzm, ukazujący wszelkie groteskowe strony znajomych osób, ale zarazem — krytycyzm, który nie oszczędza jej samej, każąc rozpamiętywać każde niezręczne zdanie, każde potknięcie się w rozmowie towarzyskiej! I pewną rezerwę, którą z tego powodu zmuszona jest zachowywać, prostą samoobronę nerwowej natury, jakże opacznie wszyscy sobie tłumaczą... Jedni — biorą to za milczenie osoby, niemającej nic ciekawego do powiedzenia, drudzy — za śmieszny zarozumiałość przemądrzałej dziewczyny. Niewiadomo, co lepsze! Poco wybierać... Zdanie pierwszych i drugich opinia może połączyć doskonale!

A pan Ziemski... Czy naprawdę mówił tak o niej? Miała wrażenie, że spoglądał na nią w zeszłą niedzielę, podczas historii z winem — wyraźnie zainteresowany, że pochwalał milcząco jej postępowanie... O, to jest właśnie zarzucana jej przez Jankę zarozumiałość! Patrzał po prostu, jak na dziwaczny unikat, obserwował jej reagowanie na docinki... Cywilna odwaga! Było też poco się wrywać z obroną abstynencji... Mogła jedynie powiedzieć, że szkodzi jej alkohol na zdrowie, taki powód zrozumieliby wszyscy, a swem szczerem postępowaniem ośmieszyła się tylko. Gdybyż on jeden chociaż poparł jej stanowisko! Gdzie tam! Dolewał tylko likieru siedzącej przy nim, zaśmiewającej się z tego „zajścia“ Jance. Szeptala potem coś do niego, spoglądając złośliwie w jej stronę, bawili się razem doskonale...

Ta „trusia“... Chyba powiedział przed jej odezwaniem, lub nie powiedział wcale... Mało ją zresztą obchodzi jego zdanie! Taki — asystent Janeczki! W sam raz nadaje się do tej roli... I myśląc to, czuje całą niesprawiedliwość podobnego określenia. W krótkiej z nią rozmowie, wtedy, gdy go spotkała jadąc linijką, był zupełnie innym człowiekiem...

Drgnęła. Tętent słyhać od strony czworaków, on musiał przyjechać teraz. Skoczyła do okna. Rzeczywiście...

— Hala, gdzie się chowasz! Idź, narwij mi nasturcji do przybrania stołu! — ciotka wsuwa do pokoju zaaferowaną, spoconą twarz. — Janeczka miała to zrobić dawno i zapomniała, a Wanda lody kręci w śpiżarni.

— Dobrze, ciociu...

— Myślałam, żeś jeszcze nieubrana i dlatego nie widać cię przy gościach, a ty dziwaczysz znowu! Ma rację Janeczka... — dalsze słowa nie dobiegają już uszu śpieszącej do ogrodu Hali. Ogarnia ją duszne powietrze upalnego popołudnia. Prędko zmierza przez gazon do ogromnego klombu płomiennych, subtelnie cieniowanych kwiatów. Schylona, narwała prawie pełen koszyczek, gdy słyszy za ścianą żywopłotu gwar rozmowy. Głosy tylko kobiece, widocznie pana Ziemskiego zabrał wuj w pole. Paplą, jak zwykle, nic ciekawego... Lecz nagle parę słów zwraca jej uwagę.

— Rzeczywiście zabawna — słyszy alt starszej Nagórskiej — taki bohaterski... Filip z konopi! I te uprzedzenia! Gdy mówiłam kiedyś o piękności tańców rewjowych, widziałam w jej oczach wyraźne niezadowolenie.

— A o mojej ulubionej Zarzyckiej powiedziała, że jest płytką autorką! — oburza się sopran młodszej z sióstr. — Rzeczywiście, słusznie mówi pan Andrzej...

Wiatr poruszył kasztanami, parę zdań zginęło w nerwowym szeleście gałęzi... Hali napływa krew do twarzy. Nie myślała, że te Nagórskie... On...

— Ma pani rację, panno Janino, wszystkich uważa za głupich, a sama... — głosy oddalają się zwolna, lecz Hala w obawie usłyszenia nowej „ankiety“, opuszcza prędko kąt gazonu...

— No widzisz, jak ślicznie odbijają na bieli obrusa! Czy większe pęczki? Takie same — doskonale. Wandka, nie zepsuj, krając, przybrania na torcie! — ciotka dyryguje, biega po jadalni ze swą wiecznie zatroskaną twarzą. — Tu siądą Nagórskie, za nimi — Janeczka, przy

niej — pan Ziemski. Asystuje jej wyraźnie, miły człowiek. No, majątek wprawdzie nie jego, ale lepsza dobra dzierżawa od zadłużonej własności... Jezus Marja — przestraszyłaś mnie znowu, Hala! Co ci dzisiaj wszystko z rąk leci?

— Nic, ciociu...

— Jako nic, przecie podnosisz nóż z podłogi... Postaw te butelki z boku kredensu! Wiesz, moje dziecko, muszę ci powiedzieć, że nie spodziewałam się nigdy po tobie takiej przykrości, jaką mi wyrządziłaś w zeszlą niedzielę...

— Ja, ciociu, nie chciałam wcale...

— Powinnaś rozumieć, że twoje uwagi, czy pić należy, były zupełnie nie na miejscu! Tak, jakbym komuś zaszkodzić tu pragnęła... I takie świetne wina domowej roboty! A wódkę sam wuj zaprawiał, zna się na tem doskonale! Wszyscy chwała...

— Mnie, ciociu, o zasadę chodziło! Każdy alkohol szkodliwy i to w zależności od mocy, a nie sposobu fabrykacji. Zresztą — ja pić nie chciałam. Zmuszając mnie, wywołano dyskusję...

— O, właśnie, twoja zarozumiałość! Ma rację Janeczka... A co do zdrowia, to troska o jego zachowanie leży w zakresie kompetencji lekarskich, a ty nawet doktorowi Traczowi oponowałaś! Taki uczony człowiek! Uniwersytet skończył, jeszcze ci mało!

— To nic nie stanowi... Rzecz przekonań osobistych raczej...

— Coś podobnego! Słusznie mówiła Janeczka... Bezy, na śmierć zapomniałam, wyszły już chyba! Proście do stołu! A z doktorem nie sprzeczasz się znowu...

Wanda wyrusza przywołać z ogrodu panny, Hala zaś zostaje delegowana w kierunku zabudowań gospodarskich — po wuja i męską połowę towarzystwa. Domyśliwszy się celu poselstwa, idą ku niej przez okólnik czterej mężczyźni. Poznaje zdaleka beczkowatą sylwetkę doktorską, drugi — to Ziemski i jeszcze jakaś nieznaną figurą...

— O, nasza apostołka! — wita Halę doktor Tracz z hałaśliwą ostentacją o nazbyt aż przejrzyściej intencji. — Co to kolega taki chmurny? Może niezdrów? Trzeba chyba zacząć reformę od strzeżenia lepiej własnej osoby?

Hala, pomijając milczeniem zaczepne słowa, podaje z kolei rękę Ziemskiemu i dziwi się złożonemu na niej pocałunkowi. Dawniej nie robił tego...

— Panna Oryszówna — pan Krzebiński... — przedstawia wuj trzeciego pana.

Nieznana figura okazuje się „starym młodzieńcem“, jak określa ją sobie w myśli Hala podczas drogi do dworu. Sucha postać, gładka twarz jednostajnie różowa, do tego — ulizane siwawe włosy oraz okrągłe, brunatne oczka, błyszczące a bez wyrazu, niby dobrze wypoliturowane gałki ciemnego drzewa. Ponieważ trzej panowie poszli przodem — „stary młodzieniec“ zaczyna bawić towarzyszkę.

— Pani tu oddawna? — Dwa tygodnie... Wspaniała, cudowna okolica, wprawdzie nie znam, jestem u doktora Tracza od wczoraj, ale... Pani pracuje w biurze? na maszynie? O — bardzo męczące, choć nie próbowałam nigdy, ale... Pani roztargniona, to zrozumiałe po takim biurkiem wyczerpaniu, nieprawdaż?

— Rzeczywiście, tak... — bąka Hala. Stwierdzając szczerze fakt roztargnienia, nie może naturalnie wyjawić jego właściwej przyczyny — w osobie idącego przed nimi Ziemskiego. Czy on powiedział „trusia“? — myśli i... jednocześnie słyszy już to słowo, mające spaść w nie-dalekiej przyszłości z ust Krzebińskiego. Zachowuje się, jak gęś po prostu, tym razem razem zasłużony na ten epitet w zupełności.

Na ganku spotykają Janinę z pannami Nagórskimi. Wszystkie trzy, w przejściu do jadalni, demonstrują wobec siebie serdeczność... nadzwyczajną. Rzecz naturalna — myśli Hala — połączyła je niechęć do mej osoby. Wspólne antypatje bardziej jeszcze niż sympatje zbliżają ludzi...

Zwykle ceremonje w drzwiach — towarzystwo zasiada przy stole. Hala cierpnie: ciotka wskazała miejsce koło niej — panu Krzebińskiemu...

— Szyneczki, panie doktorze! — grzmi gospodarz. — I na popłukanie gardła tego... tego — nalewa wprawnie kieliszek.

— Nie wiem, czy pozwoli sąsiadka — drwi Tracz, zwracając się do Hali.

Udaje, że nie słyszy. Bronzowe, błyszczące gałki są teraz wybawieniem.

— Śliczna pogoda, ma pan rację, i trwa tak oddawna...

— Mówiłem o pani sukni! — gałki patrzą karcąco. — Pani pozwoli?

— O, dziękuję, naturalnie — nabiera wędliny. Opuszcza oczy, by nie patrzeć na siedzącą naprzeciw parę, ale widzi wszystko aż nazbyt dokładnie. Janina wygląda uroczo i tak pochyla się ku towarzyszowi... Ten jednak — obserwuje Halę. — Czyż do tego stopnia jestem śmieszna — myśli zmieszana.

— Bo oto barometr... tego — oznajmia wuj, wracając od okna po opukaniu przyrządu — tego... na deszcz, ale ja państwu powiadam: przejdzie bokiem...

Jakby dla zapreczenia słowom gospodarza, wionęły naksztalt flag w głąb pokoju tiulowe firanki.

— Juljanie! — krzyknęła pani — okna zamykać! Burza!

— Ja mówię, że przejdzie bokiem, to wiatr tylko — twierdzi gospodarz, spełniając jednak polecenie żony.

W tej chwili głucho grzmot zadudnił, chlusnęły o szyby strumienie ciepłej wody. Pan spojrział krytycznie na niesłuchające go żywyioły, a — nie mogąc już kwestjonować rzeczywistości — zatopił wąsy w kremowej masie lodów.

W dusznym, coraz gorętszym pokoju, słodki zapach tortu i wina. Deser...

— Pani nie pije, dlaczego? — różową twarz wydłuża zdumieniem. — Z zasady? O, bardzo chwalebne, bardzo, ale... — nalewa sobie pełniutko. — Mmm, wyśmienite! A, chciałem zapytać, wie pani, skąd pochodzą wyrażenia: „w Pacanowie, gdzie kozy kuja“?

Hala wytwiera szeroko oczy. Czyżby jeden kieliszek podzielał już tak dziwnie na „młodego staruszka“? Spogląda w utkwione w nią gałki.

— Nie, doprawdy, nie wiem — stwierdza z zawstydzeniem, jakby przeoczyła najważniejszą w świecie wiadomość.

Więc właściciel gałek opowiada szeroko o swoim pobycie w Pacanowie i zbieranych na miejscu informacjach o braciach Kozach, kiedyś tam uprawiających kowalstwo.

— Ciekawe — dowodzi Krzebiński — jak z zupełnie naturalnego powiedzenia wytworzono określenie rzeczy nieistniejącej...

Halę jednak, daleko więcej od dziwnej pacanowskiej historii, absorbuje bliższe zagadnienie: tajemnica patrzących z przeciwka ciemnych oczu. Ziemiśki siedzi plecami do okien, nie można więc widzieć dobrze wyrazu śniadej twarzy. Rozmawia z pannami, żartuje, śmieje się przeciągle. W pewnym momencie podnosi Janina rękę i zaczynają oboje oglądać żyłki błękitne w zgięciu przedramienia. To mają być wróżby — lecz Hala inne znajduje określenie...

— Pani wie, skąd pochodzi wyrażenie: „gdzie pieprz rośnie“? — grzechocze sucho bohater pacanowskiej podróży.

Hala, trzeźwiejąc nagle, chce przypomnieć sobie kraje, hodujące ten specjał nieszczęsny, lecz w mieszananiu przelatują jej w myśli w oberkowem tempie wszystkie części świata, a zdecydować się na wybór nie może. Ogarnia ją złość i już, już ma powiedzieć pytającemu, że pieprz rośnie właśnie tam, gdzieby go wysłać pragnęła, gdy... łyż jej nabiegają do oczu. Poproś — przygniata ją podobna rozmowa. Nie jest o tyle wymagająca, aby żądała od tego pana krasomówstwa równego... mickiewiczowskiemu improwizacjom, ale zawsze... Takiemu, takiemu... okazowi nie dać rady! A ciemne oczy w dodatku ciągle patrzą na nią, na jej nieruszony kieliszek, uśmiechają się drwiąco, wyraźnie drwiąco.

Krzebiński tłumaczy obszernie, kończąc:

— ... stąd pochodzi wyrażenie: „gdzie pieprz rośnie“. Wie teraz pani?

— Wiem, że... — już nie wytrzyma, zaraz wybuchnie płaczem. — Wiem, że został na werandzie... leżak i woda... woda zalać go może! Nie, proszę nie wstawać, pójdę sama!

Różowy człowieczek spogląda zaskoczony na znikającą w sieni pannę. Janeczka parska śmiechem.

— Ot i ma pan, panie Andrzeju, wymowną ilustrację! Oszaleć z nią można...

— Tak, przyznaję pani słuszność zupełną — odpowiada Ziemiśki z dwuznacznym naciskiem.

Na ganku, przy szumie cichnącej już ulewy, płacze Hala, przytulona do wilgotnego słupa. Tak bardzo jest sama, wyśmiana i potępiona przez wszystkich! Słowa Janki, panien Nagórskich, rozmowa z ciotką i wreszcie... tortury pogawędki z „młodym staruszką“ — są jednak niczem wobec najważniejszego faktu, że... Ziemiśki jest po stronie tych osób. Biała ręka Janeczki, wróżby... Brr! poco ona, Hala, przyjechała tutaj! To nicowanie jej charakteru, takie ciągle — siedzenie na cenzurowanem... O, Boże!

Wiatr zawiał mocniej. Skrzypnęły drzwi od sieni. Obejmują Halę z tyłu czyjeś ramiona. Ciotka pewnie... Obraca się prędko i...

— Pan Andrzej! Proszę puścić! Co chcecie ode mnie znowu?!

Odstąpił o krok.

— Ładnie, to pani o leżak dbała, a sama zalewa się łzami! I co wuj powie na nowe zaprzeczenie przepowiedni... pogody?

— Proszę nie żartować! Wszyscy i pan... tak samo! Jestem śmieszna, wiem o tem, ale... — ukrywa twarz w dłoniach.

Ziemski czeka na uspokojenie rozżalonej dziewczyny. Deszcz ustał, tylko ciężkie krople kapią miarowo z dachu. Ćwierkają ptaki...

Hala ma tego dosyć! Żeby tak stać i gapić się na nią! Że płacze... Co im do tego? Jeszcze drwić się ośmiela! Spogląda przez palce, lecz ciemne oczy — nie mają złośliwego wyrazu.

— Panno Halu — zaczyna Ziemski powoli — chcę mówić o tem, co pani nazywa śmiesznością w swem postępowaniu. Otóż, bronienie spraw błahych przez ludzi śmiałych — nie imponuje mi wcale. Właśnie takie dziewczęta, jak pani, przełamujące swą lekliwą naturę dla obrony wielkiej idei — mogą zachwycić — nie tylko fizycznym urokiem. Tak zachwyciła mnie pani, panno Halu...

A pan sam pił wtedy tyle i... dolewał Janeczce!

— To sprzeczności tylko pozorne: moje postępowanie i słowa obecne... Widzi pani, często nie mogąc, czy prędeż... nie chcąc zdobyć się na przełamanie wygodnego dla nas zwyczaju — cenimy jednak taką odwagę u innych. Więcej, czujemy wobec takich osób wdzięczność, jak dla żołnierzy, walczących o dobro ogółu. I nieraz podobny przykład wywoła, choć może nie odrazu — zaciągnięcie się w szereg. Jeszcze płacze? Nie trzeba... Proszę spojrzeć tylko... — obraca ją delikatnie.

Za kasztanami przy wjeździe ołowiane dotąd niebo nasiąka światłem. Wielkie, wilgotne liście stają nagle w blasku słonecznym.

— Była pani w harmonji z niepokodą, to należy uśmiechnąć się teraz do słońca i... do mnie. Ślicznie! Wie pani, co powiedziała niedawno panna Janina? Choć to niedyskrecja z mej strony, przytoczę jej zdanie: „Oszałeć z panią można“. Otóż omyłka i... prawda najświętsza! Bardzo trafne, tylko że dla mnie — w całkiem odmiennem znaczeniu. Muszę to powiedzieć wszystkim zaraz, ogromnie nie lubię niejasnych sytuacji! Lecz, by podobne oświadczenie miało moc przekonywującą...

Ziemski ujmuje ręce dziewczyny.

— Co pan chce? Nie rozumiem...

— A to zupełnie proste... Jako narzeczona — ucałujesz mnie, Halu!

Kcma Luxówna.

NEKROLOGJA.

Ś. p. Prof. Dr. Władysław M. Kozłowski.

Dn. 25 kwietnia 1935 r. zmarł w Warszawie profesor Władysław M. Kozłowski w wieku lat 77.

Nazwisko Zmarłego stanowi osobną i chlubną kartę w dziejach oświaty i kultury naszej w czasie niewoli i w Polsce Odrodzonej.

Jego wszechstronny umysł usiłował objąć zainteresowaniami swemi i dociekaniem niemal wszystkie dziedziny wiedzy ludzkiej — był też on i przyrodnikiem, i filozofem, i pedagogiem, i historykiem, popularyzátorem wiedzy ścisłej i redaktorem wydawnictw naukowych.

Urodzony w r. 1858 w Kijowie, studjował medycynę na uniwersytecie Kijowskim; za pracę niepodległościową zesłany został na Syberję, po powrocie z zesłania ukończył studja przyrodnicze w Dorpacie i za-

raz rozpoczął niezmiernie ożywioną i płodną pracę naukową, ogłaszając znaczną liczbę dzieł, broszur, artykułów z dziedziny botaniki, filozofji, estetyki, historii i innych nauk.

Wykładał na uniwersytetach, jako docent, lub jako profesor: we Lwowie, w Brukseli, w Genewie, w Poznaniu i Pradze.

Człowiek niezwykle żywy, czynny i ruchliwy do ostatnich dni swoich interesował się bardzo głęboko wszystkimi zagadnieniami społecznymi, zwłaszcza dotyczącymi przeobrażenia i kultury charakterów ludzkich, oraz poprawy stosunków moralnych ludzkości.

Wszelkie poczynania w kierunku stworzenia nowego człowieka, wolnego od balastu nałogów niewolniczych w sferze duchowej i fizycznej — miały w profesorze Kozłowskim, jako w społeczniku - idealistcie, przekonanego i serdecznie oddanego zwolennika i przyjaciela — był entuzjastą idei wolności człowieka.

To też gorąco i głęboko interesował się także oddawna ruchem przeciwalkoholowym na terenie polskim i międzynarodowym; pisywał artykuły, brał udział w kongresach przeciwalkoholowych, wygłaszał odczyty i referaty.

W r. 1927 wziął udział w VII Polskim Kongresie Przeciwalkoholowym w Warszawie, wygłaszając na plenum tego Kongresu źródłowy referat p. t.: „Prohibicja w Ameryce“, referat ten wygłoszony z wielkiem przejęciem sprawą, wywołał bardzo duże wrażenie na Zjeździe. (Wydrukowany został w „Walce z Alkoholizmem“ z r. 1929).

W roku zeszłym dał nam ś. p. Zmarły znamieny artykuł p. t.: „Abstynencja szkołą tolerancji“, zawierający refleksje Profesora z powodu obrad I Polskiego Zjazdu Abstynentów w Warszawie, w którym wziął czynny udział. („Trzeźwość“, Nr. 12, r. 1934).

W r. 1929 zamieścił w „Trzeźwości“ dwa swoje artykuły: „Stanowisko Prezydenta Hoovera“ i „Z dziejów zwalczania alkoholizmu w Polsce“, (o artykule dr. Reinhardta „O pijaństwie, jego skutkach i sposobie zaradzenia im“, oraz o „Towarzystwie Wstrzemięźliwości“ w Krakowie w r. 1839).

W Towarzystwie naszym wygłosił dn. 30 kwietnia 1934 r. na zebraniu odczytowanym („Dekadzie“) referat p. t.: „Aktualność chwili bieżącej, a ideały filozofji narodowej polskiej“ — był to, o ile nam wiadomo, ostatni odczyt publiczny w Warszawie ś. p. Profesora.

Jak bardzo interesował się sprawą walki z alkoholizmem, świadczy fakt, że jeszcze dn. 10 lutego b. r. wziął udział w Akademji „Trzeźwości“, urządzonej przez nasze Towarzystwo w sali Tow. Higjenicznego.

Niezależny w swych przekonaniach filozoficznych, społecznych i politycznych, stał na osobności, jakgdyby w cieniu, glucho o Nim było w ostatnich zwłaszcza w latach. Partje nie lubią takich samodzielnych umysłów, takich sumień, mających swój stos pacierzowy, zamało giętkich i elastycznych.

Cześć Jego pamięci!

*

Na zebraniu odczytowanym w Tow. „Trzeźwość“ dn. 30 kwietnia b. r. wspomnienie pośmiertne poświęcone Pamięci Zmarłego Profesora wygłosił p. red. Jan Szymański.

WYSTAWA PRZECIWALKOHOLOWA I KURS ALKOHOLOGII W PŁOCKU.

W związku z XV Zjazdem Psychjatrów Polskich w Płocku, z inicjatywy p. dr. Wł. Frankowskiego, Prezesa Oddziału Płockiego Pol. Tow. Higjenicznego, urządzona została Wystawa Przeciwalkoholowa i Kurs Alkoholologii. Wystawę urządziło Tow. „Trzeźwość”. Miejscowy Komitet Organizacyjny z p. dr. Frankowskim i p. inż. W. Dąbrow-



Organizatorzy i współpracownicy Wystawy Przeciwalkoholowej i Kursu Alkoholologii w Płocku 8—16. VI. 35. Siedzą (od lew.) p.p.: red. J. Szymański, Dr. Wł. Frankowski, H. Halladin, Dr. W. Borkowski, ks. Mierzcwiński, inż. W. Dąbrowski, Stoją p.p.: M. Skiba, M. Dymala, J. Sokołowski.

wskim na czele uzyskał na wystawę aulę Państwowego Gimnazjum im. St. Małachowskiego, która została szczelnie wypełniona licznymi eksponatami. Wystawę zwiedziły zastępy młodzieży szkolnej, wojska i publiczności; objaśnień udzielał p. Mikołaj Skiba. Piękną artystyczną dekorację sali wykonał artysta-malarz p. Czesław Kaczmarezyk.

Wystawa została uroczystie otwarta w pierwszym dniu Zjazdu Psychjatrów.



Uczestnicy XV Zjazdu Psychjatrów Polskich na uroczystości otwarcia Wystawy Przeciwalkoholowej Tor. „Trzeźwość“ w Plocku
8.VI. 1935 r.

Przemówienie wstępne wygłosił p. dr. Frankowski w im. Komitetu Organizacyjnego w Płocku, poczem przemawiali p. dr. Żmigrod, nacz. Wydz. Zdr. w Urzędzie Woj. Warsz. w im. P. Wojewody Warszawskiego i p. red. Jan Szymański, jako delegat Ministerjum Opieki Społecznej. Na uroczystość przybyli wszyscy uczestnicy Zjazdu Psychjatrów in corpore. Nadeszły telegramy i pisma z życzeniami od p. dr. Karola Mitkiewicza z Warszawy, ks. dziekana Mosielskiego z Bielska i Prezesa Zarządu Gł. Tow. „Trzeźwość“, K. Kalinowskiego z Krakowa.

Od 13 do 16 czerwca odbył się Kurs Alkoholologii, wykłady wygłosili pp.: dr. *Wilczkowski*, dyrektor Zakładu Psychjatrycznego w Gostyninie: „O fizjologicznem działaniu alkoholu na ustrój człowieka“, dr. *Mikulski* (Gostynin): „Działanie alkoholu na psychikę człowieka i choroby psychiczne“, dr. *Piasecki* (Płock): „Alkoholizm a gruźlica“, *M. Skiba* (Lwów): „Alkoholizm i gospodarstwo narodowe“, ks. *Mierziński* (Płock): „Alkoholizm a moralność“, dr. *Wiktor Borkowski* (Warszawa): „Alkoholizm, zwyrodnienie a cywilizacja“ i red. *J. Szymański* (Warszawa): „Alkoholizm i przestępczość“, „Alkoholizm a dziecko i szkoła“ i „Poglądy Krasieckiego na zagadnienie alkoholizmu“. Liczba słuchaczy wynosiła przeciętnie na wykładzie około czterdziestu osób, słuchających wykładów ze skupioną uwagą. Kurs zakończyły przemówienia pp. dr. Frankowskiego, jako Kierownika Kursu, inż. W. Dąbrowskiego w imieniu Zarządu Oddziału Płockiego Tow. Higijenicznego i red. Szymańskiego, jako przedstawiciela Ministerjum Opieki Społecznej.

P. dr. Frankowski, pisząc o Kursie i Wystawie w „Głosie Mazowieckim“ mówi m. in.: „Z podziwu godnem uznaniem zaobserwować można było na Kursie wielką uwagę i przejęcie, z jakim słuchacze wchłaniali złote słowa wiedzy. Kurs był prowadzony tak świetnie i na takim poziomie, że z niego jednocześnie korzystać mogła i wynieść wiele wiadomości nie tylko młodzież, lecz i osoby o wyższem wykształceniu. Słuchając Kursu, miało się wrażenie, że się jest gdzieś na wykładach Wydziału Alkoholologii wyższego zakładu naukowego“.

ZJAZD DELEGATÓW KÓŁ TOW. „TRZEŻWOŚĆ“.

(Sprawozdanie)

Dnia 29 i 30 maja b. r. odbył się w Warszawie doroczny Zjazd Delegatów Kół Tow. „Trzeźwość“. Po otwarciu Zjazdu przez Prezesa Zarządu Gł. p. Kazimierza Kalinowskiego, zebrani uczcili pamięć Marszałka Józefa Piłsudskiego przez powstanie i minutę milczenia. Następnie, po objęciu przewodnictwa przez dr. Henryka Zajączkowskiego, Dyrektora Państw. Zakładu Leczn. w Świacku, wysłuchano szeregu przemówień powitalnych, z których obecnie podajemy przemówienie P. dr. Stanisława Tułasza, delegata Ministerjum Opieki Społecznej: „W imieniu Naczelných Władz Państwowej Służby Zdrowia mam zaszczyt i przyjemność powitać Zjazd Delegatów Kół Towarzystwa „Trzeźwość“. Walka z alkoholizmem jest bardzo poważnym odcinkiem ogólnej walki o zdrowie ludności i Władze Sanitarne doceniają jej znaczenie w zupełności i biorą w niej czynny udział. To też w imieniu Ministerjum Opieki Społecznej życzę Państwu potężnego rozwoju tej Organizacji, jaknajowocniejszej pracy i jaknajlepszych wyników“.

Na wniosek Prezesa Kalinowskiego, Zjazd uchwalił wysłać do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej depeszę treści następującej:

PAN PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ.

Warszawa — Zamek.

„Zjazd Delegatów Kół polskiego Towarzystwa walki z alkoholizmem „Trzeźwość“ przesyła wyrazy hołdu Dostojnemu Włodarzowi Rzeczypospolitej a zarazem Protektorowi Polskich Kongresów przeciwalkoholowych“.

Następnie wygłosili referaty: doc. dr. Gustaw Szulc, dyrektor Państwowego Zakładu Higjeny: „Alkohol a zagadnienie wychowania fizycznego“, red. Jan Szymański, „Poglądy Ignacego Krasieckiego na sprawę pijaństwa — w 200-letnią rocznicę Jego urodzin“ i dr. Henryk Zajęczkowski, dyrektor Państwowego Zakładu Leczniczego w Świnieku: „Z doświadczeń i obserwacji nad leczeniem alkoholików i narkomanów“. Te trzy referaty drukujemy w niniejszym numerze „Trzeźwości“.

Spowodu braku miejsca odkładamy szczegółowe sprawozdanie z przebiegu Zjazdu do następnego numeru „Trzeźwości“; podajemy jedynie streszczenie referatu senatora Al. Iżyckiego p. t.: „Nasze obowiązki wobec uleczonych alkoholików i narkomanów“ i dyskusji, jaka się po nim wywiązała, ze względu na nagłą aktualność zagadnień, poruszonych w wspomnianym referacie.

Senator Iżycki, — rozszerzając myśl, wyrażoną w dwu swoich artykułach, drukowanych w ostatnich numerach „Trzeźwości“, — wychodzi z założenia, że społeczeństwo, które łoży na leczenie nałogowców, nie może być obojętne na losy tych, którzy opuszczają zakład w stanie poprawy, albo zupełnego wyleczenia. Wobec tego wysuwa projekt stworzenia specjalnych ośrodków pracy fizycznej (fermy rolne i ogrodnicze), które mogłyby stać się przystanią dla tych, którzy po opuszczeniu zakładu w stanie zdrowia, nie mogą znaleźć odpowiednich warunków egzystencji. Praktycznie sprawa ta nie nastrocza wielkich trudności. Ministerjum Rolnictwa chętnie przekazał Ministerjum Opieki Społecznej drobne objekty rolne, które będzie można przeznaczyć na cel wyżej wymieniony. Prelegent uważa, że w tej sprawie powinni wypowiedzieć się lekarze psychiatrzy, zajmujący się specjalnie leczeniem nałogowców. Dr. Zajęczkowski — mówi prelegent — niejednokrotnie zwracał uwagę na konieczność stworzenia takich ośrodków. Czas więc, żeby jego wskazania zostały zrealizowane. Leczenie przechodziłoby wówczas jakby trzy etapy. Pierwszym byłby zakład właściwy, później ferma przy Zakładzie, w której pacjent, dobrze na przyszłość rokujący uczyłby się rzemiosła lub pracy na roli, etapem trzecim byłyby samodzielne jednostki gospodarcze, prowadzone przez pacjentów odpowiednio już przeszkolonych i nie mających możliwości znalezienia pracy w ramach swego normalnego życia. Stworzenie takich ośrodków byłoby nie tylko niezwykle korzystne dla ludzi opuszczających zakład w nastroju lęku przed czekającymi ich trudnościami życiowymi: ale przyczyniłoby się w znacznym stopniu do podniesienia procentu uleceń. Ludzie, poddający się kuracji w zakładzie, mieliby tę pewność, że po ukończeniu leczenia nie zostaną pozostawieni własnemu losowi, że społeczeństwo nadal będzie się nimi troskliwie opiekowało i da im, jako ludziom już zdrowym, tę podstawę normalnej egzystencji, jaką jest praca. Tu świadomość zabezpieczonej przyszłości może mieć wielkie znaczenie dla powodzenia kuracji, stwarzając w pacjencie poczucie bezpieczeństwa i spokoju.

Po referacie wywiązała się dłuższa i ożywiona dyskusja.

Dr. Kuropatwiński mówi, że należałoby zgóry przygotować pacjenta do jakiegoś zawodu. Np. na kresach wschodnich brak jest wykwalifikowanych rzemieślników. Koła Tow. „Trzeźwość“ mogłyby w tej sprawie wiele zdziałać.

Dr. Stypulkowski uważa, że sprawa jest bardzo skomplikowana. Stwarzanie sztucznego środowiska nie zawsze możemy uważać za korzystne. Pacjent, którego

szpital oddaje przychodni, jest już w odpowiedni sposób „wychowany“ i przygotowany do życia, które prowadzi w warunkach normalnych pod opieką poradni, dopomagającej mu w trudnych momentach. Dopóki człowiek ma jakiegokolwiek szanse utrzymania się w granicach egzystencji, powszechnie uważanej za normalną, przenoszenie go w sztuczne środowisko nie ma celu. Jednakże mówca jest za tem, że myśl przedstawioną przez senatora Iżyckiego, należałoby wprowadzić w życie.

Dr. J. Neczaj-Hruszewicz, zaznacza, że jeżeli mamy spodziewać się dodatnich wyników metody leczniczej, to metoda ta musi być dopasowana do indywidualności pacjenta. Poza tem, pobyt w takiej fermie nie może mieć charakteru stałego. Musi mieć charakter czasowy, gdyż ideałem lecznictwa nie jest utrzymanie chorego w warunkach, wykluczających wszelkie szkodliwe wpływy życia, a właśnie przysposobienie go do zwycięskiego opierania się tym wpływom. Ośrodki pracy, proponowane przez senatora Iżyckiego, należałoby raczej przeznaczyć dla tych pacjentów, których leczenie, ze względu na pogłębienie stanu chorobowego, wymagałoby kilkunastomiesięcznego, a nawet kilkuletniego okresu czasu.

P. Bobrowski, delegat Koła z Choroszczy, podaje, że tamtejszy zakład wyleczonym alkoholikom daje pracę u siebie.

Dr. Zajaczkowski podkreśla, że zagranicą myśl tworzenia leczniczych ośrodków pracy dawno wyszła ze stadjum projektów. Są one tworzone na zasadzie samowystarczalności, którą, — naturalnie — nie zawsze daje się osiągnąć. Pacjenci są obowiązani do wykonywania pewnej pracy na rzecz zakładu, za którą otrzymują leczenie, wyżywienie i minimalną zapłatę. Metoda ta daje dobre rezultaty. Jest ona wskazana choćby z tego względu, że dla niektórych pacjentów pobyt w sanatorjum jest czemś wysoce korzystnym z życiowego punktu widzenia. Pacjenci ci wykorzystują swój nałóg, żeby móc jaknajdłużej pozostawać w leczeniu i nie osiągają poprawy w zakładzie, który daje im idealne warunki egzystencji, nie wymagając wzamian pracy. Jest rzeczą znamienną, że — szczególnie w miesiącach zimowych — napływ pacjentów do sanatorjum się zwiększa. Ludzie, którzy całe lato zachowywali się wzorowo, zaczynają pić bez żadnej widocznej przyczyny, urządzają kilka pijańskich awantur i ostatecznie zostają skierowani przez ubezpieczalnię do zakładu, po to, żeby po przebyciu tam miesięcy zimowych, wypisać się z nadejściem lata, gdy uzyskanie pracy — szczególnie dla niektórych zawodów (kelnerzy, murarze) — nie jest tak trudne. Mamy tu więc do czynienia z momentem demoralizującym pobytu w sanatorjum, którego — w wypadkach wyżej wymienionych — dałoby się uniknąć w projektowanych przez senatora Iżyckiego ośrodkach pracy. Nie należy się również obawiać, że praca fizyczna dla jednostek inteligentnych będzie nieodpowiednią — wprost przeciwnie, ma ona ogromnie korzystne znaczenie w sensie leczniczym. Jeden z pacjentów Mówcy, absolwent medycyny, człowiek o nieprzeciętnym umyśle, autor paru oryginalnych prac naukowych, pracuje obecnie w Świacku w charakterze zwykłego robotnika rolnego z wielką korzyścią dla swego ogólnego samopoczucia i zdrowia psychicznego. Trzeba również zastanowić się nad tem, że obecnie nawet pełnowartościowe jednostki w wielu wypadkach nie mogą znaleźć pracy, a cóż dopiero ludzie, mający poza sobą przeszłość tak ciężką i wykolejającą, jak nałogowcy. Mówca, jako przykład, podaje jednego ze swoich pacjentów, który w ciągu dwu lat po opuszczeniu zakładu w stanie wybitnej poprawy i przy zachowaniu kompletnej abstynencji nie mógł zdobyć żadnej pracy, znajdował się w skrajnej nędzy, a mimo to nie wrócił do nałogu. Obecnie nosi się z zamiarami samobójczymi, przemyślaniami zupełnie „na zimno“, gdyż nie widzi innego wyjścia ze swojej sytuacji życiowej. Moment trudności zdobycia znośnych warunków egzystencji sprawia, że ludzie, rokujący nawet najlepiej, powracają do nałogu i — ostatecznie — nie można odmówić pewnej racji człowiekowi, który, nie wi-



Zjazd Delegatów Kół Tow. „Trzeźwość” 30.V. 35 w Warszawie. W pierwszym rzędzie od praw. p.p.: J. Remborska, Dr. St. Stupulkoński, Doc. Dr. G. Szulc, Dyr. P. Zakł. Higij., Dr. St. Tubiasz, del. Min. O. S., Dr. Strell, red. J. Szymanski, K. Kalinowski, Prezes Zarz. Gł. Tow. „Trzeźwość”, Dr. H. Zajęczkowski, Dyr. P. Zakł. Leczn. w Świątku, Dr. St. Leszkiewicz, Prezes Kół Tow. „Trzeźwość” w Końcu, Dr. J. Neczaj - Hruzewicz, Dyr. P. Zakł. Leczn. w Gościejowie, Dr. F. K. Cieszyński, I. Hnatkiewicz i Czurycka.

dząc żadnych możliwości dalszego trwania, choć w ten sposób stara się osiągnąć fikcję szczęścia w swoim tragicznym życiu. Utworzenie projektowanych przez senatora Iżyckiego ośrodków pracy — leżące w naszych obecnych możliwościach — mogłoby wydatnie przeciwdziałać wytwarzaniu się takich szkodliwych nastawień i podnieść procent uleceń. Przychodnia przeciwalkoholowa oddaje olbrzymie usługi lecznictwu nałogowców, ale zakres jej skutecznego działania ogranicza się do ludzi, którzy nie wypadli zupełnie poza nawias normalnego życia. Poza to, do poradni przychodzi zwykle ci ludzie, którzy już zaczęli pić — dopóki nie piją, nie pokazują się w poradni i dlatego poradnia przeważnie nie ma możliwości wychowawczego oddziaływania i dopomagania tym, którzy borykają się z życiem, nie łamiąc jednocześnie abstynencji. Dzieje się tak prawdopodobnie dlatego, że poradnia, której kierownikiem jest lekarz, nosi jakgdyby charakter pewnej odmiany zakładu leczniczego, a pacjent, który zakład opuszcza, często uważa się już za człowieka zupełnie zdrowego i nie widzi potrzeby poddawania się dalszej opiece lekarskiej. Dr. Zajęczkowski zwraca jeszcze uwagę na to, że pacjentami opuszczającymi zakład powinny się zainteresować stowarzyszenia abstynenckie, które będą miały niewątpliwie wiele pożytku z tego materiału ludzkiego, który wniesie w nieraz dość monotonną atmosferę tych stowarzyszeń pierwiastek zapachu i żarliwego oddania się sprawie. Kontakt między wspomnianymi stowarzyszeniami a h. pacjentami może przynieść wiele korzyści obu stronom.

Dr. Neczaj-Hruzewicz zaznacza, że kolonje, projektowane przez senatora Iżyckiego, potrzebują lekarza i personelu pomocniczego. Ilość „załamań się“ w takich kolonjach będzie prawdopodobnie dość znaczna. Jedynie lekarz, będący na miejscu może skutecznie przeciwstawić się rozmaitym niepożądanym wypadkom, które niewątpliwie będą miały miejsce. Następnie należy przeprowadzić selekcję materiału ludzkiego, tak, żeby nie mieszać razem ludzi, rokujących dobrze z ludźmi, nie przedstawiającymi szans wyleczenia.

Dr. Zajęczkowski w odpowiedzi dr. Neczaj-Hruzewiczowi zaznacza, że kolonje te mają być właśnie przeznaczone dla ludzi „uleczonych“, to jest takich, którzy opuszczają właściwy zakład leczniczy w stanie poprawy. Ośrodki dla nieuleczonych są przewidziane w projekcie Ustawy Eugenicznej i unormowane odpowiednimi przepisami prawa, które przewiduje utworzenie obozów pracy przymusowej dla tej kategorii chorych.

Dr. Stypułkowski przypuszcza, że przychodnia może dopomóc człowiekowi nawet w tych wypadkach, gdy ten zostanie w zupełności wytrącony poza ramy życia społecznego. Zresztą, zasadniczym celem leczenia jest utrzymanie człowieka w jego zwykłym otoczeniu. Jest rzeczą niedopuszczalną, żeby przychodnie, których i tak jest mało, były zamykane, jak to miało miejsce z przychodnią na Grochowie w Warszawie.

Dr. Steffen zaznacza, że jednym z zasadniczych momentów, które określają stanowisko uleczonych już pacjentów wobec rzeczywistości pozazakładowej, jest uczucie lęku i pojmowanie tej rzeczywistości, jako coś niezmiernie groźnego. Wśród lekarzy, którzy zabierali głos w dyskusji, dają się wyodrębnić dwa stanowiska, które, przyjmując konieczność utworzenia leczniczych ośrodków pracy, różnią się w poglądach na pewne szczegóły. Mówca uważa, że oba te stanowiska, z których jedno jest za tworem specjalnych warunków pracy dla rekonwalescentów, a drugie za opiekowaniem się nimi w warunkach normalnego życia, zawierają wiele słuszności i dadzą się z sobą pogodzić. Dr. Steffen uważa, że należy uwzględnić moment lęku przed rzeczywistością, który występuje bardzo często. Przytacza, jako przykład, swego pacjenta, od dwu lat internowanego przez Sąd w zakładzie psychiatrycznym spowodu



*Dekoracja żałobna portretu ś. p. Marszałka Józefa Piłsudskiego na Zjeździe Del. Kół
Tow. „Trzeźwość“ 30.V. 35. wykonana przez art.-mal. Czesława Kaczmarczyka.*

grózb karalnych, których dopuścił się w stosunku do swojej matki. Pacjent ów, w ciągu dwuletniego pobytu w zakładzie, zdołał się uspołecznic w tym stopniu, że obecnie w zupełności zasługuje na zaufanie. Bardzo mu zależy na tem, żeby zdjąć z niego piętno karalności sądowej, pisał w tej sprawie do prokuratora Firstenberga i ma wszelkie szanse zwolnienia z zakładu. Ale z drugiej strony pacjent ów poprosto nie wyobraża sobie możliwości powrotu do normalnych warunków życia. Myśl o konieczności stanowienia o sobie napelnia go lękiem, pragnąłby, mimo wszystko, pozostać w zakładzie, nie będąc jednocześnie pacjentem internowanym przez władze sądowe. Boi się, że z chwilą wypisania z zakładu stanie się człowiekiem zupełnie zbędnym, nikomu na nic niepotrzebnym. Dla takich ludzi właśnie należy stworzyć ośrodki pracy, któreby z jednej strony nie nosiły piętna zakładu zamkniętego i nie wywierały przymusu, a z drugiej dawały człowiekowi ten walor opieki i bezpieczeństwa, który stał się momentem wiążącym go z zakładem psychiatrycznym.

Red. Szymański uważa, że obowiązkiem ciążącym na Państwie i na społeczeństwie jest opiekowanie się tym elementem ludzkim, który ponownie wykolejając się, jest złą reklamą dla lecznictwa nałogowców. Wszyscy, mimo pewnych różnic w ujmowaniu szczegółów tego zagadnienia, zgodzili się na jedno, a mianowicie, że stworzenie ośrodków pracy jest koniecznością. Mówca przypuszcza, że rzeczą właściwą byłoby utworzenie takich zakładów pracy przy istniejących już zakładach leczniczych w Świacku i Gościejowie. Ustawa Eugeniczna jest jeszcze w stanie projektu, a zresztą izolacja wielkiej liczby ludzi pochłaniłaby za sobą olbrzymie wydatki, gdy tymczasem utworzenie ośrodków pracy leży, godzi się przypuszczać, w granicach możliwości budżetu na walkę z alkoholizmem.

Dr. Zajęczkowski proponuje, żeby utworzyć specjalną komisję, która rozpatrzyłaby dokładnie tę sprawę. W skład komisji, oprócz Zarządu Gł. Tow. „Trzeźwość“, weszliby przedstawiciele Świata lekarskiego w osobach dr. Neczaj-Hruzewicza, Steffena, Stypułkowskiego i innych *).

Na tem dyskusję zamknięto.

Pod koniec obrad Zjazd, na wniosek p. Prezesa Kalinowskiego, powziął jednomyślnie następującą uchwałę:

„Obradujący w Warszawie dn. 30 maja 1935 r. doroczny Zjazd Delegatów Kół Towarzystwa „Trzeźwość“ zwraca się do Pana Ministra Opieki Społecznej z wielką prośbą, by wobec coraz groźniejszych dla przyszłości Państwa rozmiarów alkoholizmu, rozwijającego się nawet wśród młodzieży szkolnej — poczynił starania w celu wznowienia artykułów ustawy przeciwalkoholowej, zniesionych rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej“.

(podał M. K.)

*) Zarząd Główny Tow. „Trzeźwość“ odbył dn. 20.VI. wspólne posiedzenie z rzeczoznawcami p.p. Dr. Steffenem, Dr. St. Stypułkowskim i Dr. A. Stypułkowską, na którym poddano szczegółowemu omówieniu sprawę Zakładów i ferm pracy dla uleczonych alkoholików.
(Przyp. Red.)

ABSTYNNENCKA LIGA KOLEJOWCÓW.

KOMUNIKATY ZARZĄDU GŁÓWNEGO.

Wagon Wystawa. Po przeprowadzonej rewizji i gruntownym remoncie wagonu w Warsztatach Gł. I. kl. we Lwowie, tak Wagon Wystawę jak i eksponaty doprowadzono do lepszego stanu.

Na skutek licznych żądań z Okręgów A. L. K., oraz z Oddziałów P. C. K., wagon wysłano dnia 13.VI. b. r. na objazd propagandowy do Połoczan, a następnie do Łap i Mińska Mazowieckiego, miejscowości Okręgu DOKP. w Wilnie i Warszawie.

Sprawozdanie, oraz wyniki z tej akcji nie omieszkamy podać do ogólnej wiadomości członkom A. L. K.

Kongres w Wiedniu. W sprawie uzyskania wagonu, oraz zbiorowej przepustki dla delegatów A. L. K. na wyjazd do Wiednia, Zarząd Główny wystąpił z prośbą do Ministerjum Kolei. O wyniku tej interwencji poda się do wiadomości Okręgom i Kołom A. L. K.

Z ż y c i a K ó ł:

Koło w Wilnie: Rozwija się nadal pomyślnie — w roku 1934 Zarząd odbył 6 posiedzeń, na których omówione zostały sprawy, dotyczące się walki z alkoholizmem wśród kolejarzy, kładąc nacisk na prowadzenie propagandy trzeźwości. Zarząd przyczynił się do zorganizowania wydawnictwa miesięcznika „Abstynent Kolejowiec“, który wprawdzie zdobył swą popularność, jednak po wydaniu 5-ciu zeszytów, wydawnictwo zlikwidowano, a to z powodu uchwały Zjazdu Delegatów, który uznał miesięcznik „Trzeźwość“ organem A. L. K.

Z początkiem ub. roku Zarząd otrzymał do dyspozycji „Wagon Wystawa“, w którym przy łaskawym udziale Stud. med. U. S. B. p. Stolarzewskiego urządzono cykl aktualnych odczytów, z pokazem przeźroczy. Zarządzono objazd wystawy w Okręgu, która cieszyła się liczną frekwencją, dowodem liczba zwiedzających, a to, 6.000 kolejarzy wraz z rodzinami, 4.000 uczni, około 5.000 żołnierzy, prócz osób postronnych. W Tygodniu Trzeźwości urządzono w Ognisku K. P. W. odczyty propagandowe przy łaskawym udziale P. Prof. Zygmunta Hryniewicza, na które przybyło wielu słuchaczy z pośród i nieczłonków Koła Wileńskiego.

Koło Warszawa: Jedno z najmłodszych, które dzięki nieustrudzonej członkini Ligi p. Leokadii Bystrzejskiej, oraz p. Inż. Szadziewicza zostało założone w dniu 6.II. 1935, skupiając u siebie ponad 20 członków. Czynny udział w tem Kole zgłosił P. Redaktor Szymański; ufamy przeto, że działalność Koła stołecznego już wkrótce rozwinię się pomyślnie.

Koło Litów Miasto. Rozwija się pomyślnie od r. 1929. Liczy obecnie 66 członków. Zarząd korzysta bezpłatnie z lokalu, znajdującego się na terenie Warsztatów Gł. I. kl., gdzie licznie uczęszczają członkowie Koła, korzystając z pism, gier towarzyskich, oraz biblioteki, która obecnie liczy ponad 400 doborowych dzieł. Liczba abonentów wzrosła do 90 osób, co świadczy o dalszym rozwoju biblioteki. W Tygodniu Trzeźwości urządzono propagandową zabawę abstynencką w salach Kręgielni Kolejowej, która, jak co roku, odniosła swój sukces moralny.

Koło Róćne: Zaznacza się nieznaczny ubytek członków A. L. K. z powodu przeniesień służbowych. Koło prowadzi, jak dotąd, zadowolająco, Prezes p. Ksawery Nawrocki.

Koło Kowel: Po utracie Prezesa Koła p. Inż. I. G. Kosowskiego, który przeszedł na emeryturę, przenosząc się do Stanisławowa, przewodnictwem Koła w r. 1934 objął Dr. Bolesław Turowski, który mimo niepowodzenia, jak utrata świetlicy w bu-

dynku PKP., zdołał rozwinąć intensywną działalność na terenie Kowla dla pracy szerzenia idei trzeźwości, przeznaczając dla tej sprawy swój czas oraz udzielając pokój w przychodni lekarskiej na zebrania Zarządu. W roku sprawozdawczym urządzono propagandową „Gwiazdkę“ dla dziatwy, która cieszyła się niebywałym powodzeniem, oraz w m-cu lutym Akademię przeciwalkoholową wspólnie z Towarzystwem „Trzeźwość“, na którą przybyła liczna publiczność Kowelska, nie tylko z grona kolejarzy.

Koło Dęblin. Zarządowi Koła przewodniczy niestrudzony w pracy A. L. K. Dr. Kazimierz Wyrzykowski. Koło liczy 68 członków. W Tygodniu Trzeźwości urządzono uroczystość odebrania przyrzeczenia od nowych członków Koła Abstynenckiej Młodzieży przez Ks. Pref., poczem została odegrana sztuka teatralna p. t. „Lekarstwo na wszystko“. Zarząd wziął przedewszystkiem pod uwagę podtrzymanie ruchu abstynenckiego wśród miejscowej młodzieży szkolnej — urządzenie zebrań, łączonych z pogadankami, na których wyświetla się filmy i przeżroczą na temat walki z alkoholizmem.

Dalsze sprawozdania nastąpią po nadejściu wiadomości z innych Kół.

Wszelkie artykuły, oraz wiadomości z życia abstynentów kolejarzy prosimy Zarządy Okręgów i Kół A. L. K. nadsyłać na adres Generalnego Sekretarza we Lwowie, Dyrekcja O. K. P. Zygmuntowska 1. Antoniego Wudkiewicza Asesora PKP.

Lwów. Dnia 12 maja 1935 r. w dniu zgonu Wodza Narodu Marszałka Józefa Piłsudskiego — odbyło się jubileuszowe X Walne Zebranie Koła Lwów A. L. K. — w domu własnym w Lewandówce.

Walne Zebranie przyjęło sprawozdanie ustępującego Zarządu przez aklamację i wyłoniło Zarząd na rok 1935/36 w składzie: Adam Rauch prezes, Tadeusz Chwalbiński Wiceprezes, Stefan Ziemiański sekretarz, Walenty Wąs zast. sekretarza, Jan Mozurad skarbnik, Ludwik Błahut gospodarz, Władysław Bargiel, Władysław Filip, Adam Nowakowski, Jerzy Richter i Stanisław Szumański członkowie Zarządu, Edward Bik, Michał Schlosser i Stanisław Zduńczyk — Komisja Rewizyjna. Nowowyzbrany Zarząd Koła ma wiele bardzo ważnych zadań do spełnienia, a przedewszystkiem dążyć będzie do realizacji uchwał Walnego Zebrania, mających doniosłe znaczenie dla dalszego rozwoju Koła, a związanych z dziesięcioleciem A. L. K., przypadającym na wiosnę 1936 r.

Dnia 13 maja zwołał Zarząd Koła żałobne posiedzenie, celem złożenia hołdu Nieśmiertelnemu Wodzowi Narodu Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu. Prezes Koła odczytał orędzie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej — poczem zebrani, stojąc, trzyminutowem milczeniem uczcili pamięć Wielkiego Zmarłego. Na tem posiedzenie przerwano na znak największej żałoby. Do dnia pogrzebu, a także i w dniach następnych świetlica Koła była wypełniona członkami — skupionymi przy głośniku radjowym — a ciszę trwającą całe godziny przerywał jedynie uroczysty i wzruszony głos z radja — i cichy tłumiony szloch obecnych. Nad nimi błyszczała w świetle czerwonej lampki ustawionej u stóp Zbawiciela — portret Ukochanego Wodza, okryty kirem. W świetle słabo płonącej lampy, przecudnie zdobiły drogą głowę Dziadka, błyszczące wokół oczu po brzegi napełnione łzami — oczy Jego wiernych po kres życia dzieci, którym zapewne drżąc już ręką poraz ostatni wpisał się w pamiątkowej księdze. Zamiast wieńca, przekazało Koło kwotę pięćdziesiąt złotych na rzecz komitetu Budowy kopca Marszałka Józefa Piłsudskiego w Krakowie.

Do czasu ukończenia żałoby narodowej — odwołało Koło wszelkie imprezy, a zatem i wycieczkę nad Polskie Morze — w dniach od 18 do 23 maja 1935 r.

Delegat Koła wziął udział w pogrzebie.

W poniedziałek 10 czerwca 1935 r. wzięło Koło czynny udział w urządzeniu uroczystej akademii ku czci Marszałka Józefa Piłsudskiego w Lewandówce, dokonanej wspólnymi siłami Związków społecznych Lewandówki. Na zawsze niezapomnianą zo-



Jubileuszowe X Walne Zgromadzenie Kola Lurów A. L. K. 12.V. 35 r. Od prawej siedzą p.p. Tadeusz Chwałbiński wiceprezes i skarbnik Zarządu Gł., Adam Rauch prezes Kola i wiceprezes Zarz. Gł., Zofja Szcypulanka bibliotekarka, Dr. Juliusz Notz prezes Zarz. Gł., Anna Serednicka, Antoni Wudkiewicz generalny sekretarz i Stefan Zientański sekretarz Kola i zast. gener. sekretarza.

stanie chwila tej wzruszającej uroczystości. Zbiórka na budowę pomnika Marszałka Józefa Piłsudskiego we Lwowie — urządzona na akademii przez delegatów Koła, dała 117 zł. 62 gr. Koło nasze złożyło na ten cel pięćdziesiąt złotych. W dn. 9 lipca b. r. urządziła Koło pielgrzymkę do grobu Wodza Narodu na Wawel — i weźmie udział w sypaniu kopca na Sowińcu. Z Krakowa uda się wycieczka przez Poznań do Gdyni i Helu. Powrót nastąpi przez Warszawę dnia 13 lipca 1935 r.

Z a Z a r z ą d K o ła

Sekretarz: Ziemiański Stefan.

Prezes: Rauch Adam.

Z u r o c z y s t o ś c i ż a ł o b n y c h :

Zarząd Główny A. L. K. na wiadomość o bolesnej stracie Wodza Narodu ś. p. Marszałka Józefa Piłsudskiego, zwołał Nadzwyczajne Zebranie Zarządu. Po zagajeniu i uczczeniu pamięci ś. p. Marszałka przez powstanie i kilkuminutowe milczenie, Prezes Dr. Notz odczytał orędzie P. Prezydenta, poczem uchwalono:

- 1) wysłać delegację do Województwa, celem złożenia na ręce Pana Wojewody kondolencji;
- 2) wysłać delegację na pogrzeb do Warszawy, jak również wezwać okręgi i Koła do wysłania swych delegacji;
- 3) zarządzić żałobę i odwołano wszelkie zebrania;
- 4) przeznaczono kwotę 100 zł. na budowę kopca imienia ś. p. Marszałka w Sowińcu.

W Warszawie Wiceprezes Zarządu Głównego p. Inż. Szadziwicz, poza złożeniem kondolencji w imieniu Ligi w Belwederze, wziął udział z delegacjami w pogrzebie ś. p. Marszałka.

W a l n e z e b r a n i a K o ła

Koło Kowel. Dnia 26 maja b. r. odbyło się w Kowlu w kinie kolejowym „Świt“ Walne Zebranie Członków A. L. K. przy udziale delegata Zarządu Głównego P. Wudkiewicza Antoniego, P. Inż. Kosowskiego Juliana, jako przewodniczącego Zebrania, oraz Dra Leszkiewicza, Prezesa miejscowego Koła Tow. „Trzeźwość“.

Po uczczeniu pamięci ś. p. Marszałka Józefa Piłsudskiego przez licznie zebraną publiczność, Dr. Bolesław Turowski złożył rzeczowe sprawozdanie z działalności Koła w okresie sprawozdawczym, które dowodzi, o wysiłkach i pracy Zarządu na polu szerzenia ideologii trzeźwości wśród grona kolejarzy kowelskich.

Uchwalono dwie rezolucje: 1) z wyrazami hołdu cieniowi ś. p. Marszałka Józefa Piłsudskiego i 2) z wyrazami uznania dla prac Zarządu Głównego.

Prezesem Koła wybrano ponownie Dra Bolesława Turowskiego, któremu serdecznie życzymy w dalszej jego pracy w walce z alkoholizmem dla dobra Państwa i kolejnictwa polskiego: „Szczęść, Boże“.

Koło Lwów - Miasto. Dnia 28 maja b. r. odbyło się Walne Zebranie członków tutejszego Koła w obecności Prezesa Zarządu Gł. Dra Juliusza Notza, którego jednogłośnie wybrano przewodniczącym Zebrania.

Po złożeniu hołdu pamięci zmarłego Wodza Narodu ś. p. Józefa Piłsudskiego przez zebranych, Prezes Koła p. Antoni Wudkiewicz złożył wyczerpujące sprawozdanie za rok 1934. Wybrano nowy Zarząd z P. Panem Safutą, asesorem O. M., jako przewodniczącym Koła. Ufamy, że obecny Zarząd przyczyni się do dalszego rozwoju Koła i wzmoże swą działalność propagandową wśród kolejarzy na terenie miasta Lwowa.

Lwów, dnia 17 czerwca 1935 r.

Z a Z a r z ą d G ł ó w n y :

Generalny Sekretarz:

Antoni Wudkiewicz.

Prezes:

Dr. Juliusz Notz.

PRZEGLĄD PRASY

„RZNIJCIE, KOCHANKOWIE MOI, W BRYDZA!“ „Idąc Nowym Światem, w oknie wystawowym jednej z księgarni, należących do patrycjatu stołecznych firm wydawniczych, obserwować można osobliwy obraz: całe pole wystawy zawalone jest istną lawiną podręczników do nauki gry w brydża.

Król-brydż panuje w tej witrynie księgarskiej tak wyłącznie i niepodzielnie, jakgdyby poza jego królestwem nie było w Polsce żadnych dziedzin życia, godnych uwagi lub zainteresowania. Dzięki ekspozycji zasłużonego księgarza dowiadujemy się, że brydż stał się u nas nie tylko rozrywką ludzi, cieszących się nadmiarem wolnego czasu, ale także sztuką i wiedzą, posiadającą swych badaczy i komentatorów, swe liczne stopnie wtajemniczenia. Wśród prac teoretycznych, mających za swe szczytne zadanie szkolenie coraz nowych kadrów dla systematycznej obsługi zielonego stolika, dostrzegamy całą hierarchję poziomów, całą skalę przystosowań do potrzeb umysłowych cechu karciarzy. A więc, przede wszystkim mamy bogaty wybór podręczników tego kunsztu dla początkujących, coś w rodzaju elementarza dla dzieci. Ponad nimi stoi brydż dla dorastającej młodzieży, oraz brydż dla dorosłych, dla starych wygów kartografstwa, brydż dla zawodowców i rekordzistów.

Szanujący się brydżysta, jak widać z tej bogatej literatury, gdy chce w swej branży zająć miejsce, powinien naukę zaczynać od młodu, pilnie studjować ją zarówno teoretycznie jak doświadczać, nie zaniedbywać jej nigdy ani dla nudnych lekcji w gimnazjum, ani dla bałamutnych wykładów w uniwersytecie.

— Rżnijcie, kochani moi, w brydża! — woła z okien swej księgarni obojętny wydawca: — wszystko inne jest fraszką w porównaniu z głębią, jakie otwiera przed człowiekiem brydż, umiejętnie i racjonalnie prowadzony. Niech inne narody zgłębiają sztukę, technikę, filozofję! My, Polacy, grajmy w karty i starajmy się o to, aby grać uczenie, grać z przygotowaniem fachowem, aby jaknajwięcej czasu trawić nie tylko przy zielonym stole, ale dla zielonego stołu!

Intencje zacnego księgarza zasługują oczywiście na głęboki szacunek. Bo skoro ludzie grają w brydża, to któż się nie zgodzi z życzeniem, aby grali dobrze? Niechaj też nikt nie posądza nas o kruczatę przeciwko samej instytucji brydża. Brydż — obok alkoholu — jest i pozostanie wyrazem jednej z najgłębszych tęsknot człowieka, chwyczonego w tryby i kołce specjalizacji: jest ona formą, w jakiej ludzie, uwięzieni w ramach swej specjalności, pokrywają swój deficyt swobody i fantazji. Na domiar, jest on niezmiernie efektywną postacią ucieczki i ratunku dla tych, których nie stać na to, aby mogli, nie nudząc się, pozostać sam na sam z własną myślą, lub z myślą innych ludzi, zakletą w dzieła literatury i poezji. Brydż, ta namiastka swobody, staje się w ten sposób również namiastką wydatkowania własnej myśli i uczestniczenia w cudzej.

Ale przez to zabijanie w życiu człowieka jego godzin samotnych, przez okradanie go z każdej chwili, w której mógłby sięgnąć po książkę i z książką skonfrontować swoją myśl własną lub własne przeżycie, kartografstwo staje się namiętnością, która kłęską dewastacji przechodzi przez umysłowość całych grup społecznych.

Każdy z nas ileż zna takich ofiar dewastacji karcianej: dla ofiary takiej istnieją dwie tylko sfery zainteresowań — jarzmo własnego warsztatu zarobkowania i — brydż... Niewolnik wprzężony w kierat z talją kart w rękę: oto cała synteza tego pokroju ludzi pomniejszych zewnątrznie i wyjąłowionych wewnątrznie. Ze stanowiska higieny mózgowej należałoby tedy miłośnictwo brydża zaliczyć do najskuteczniejszych sprzymierzeńców sklerozy duchowej.

To też tam, gdzie często otwiera się stolik do brydża, tam prawie nigdy nie otwiera się książka. Tej, przynajmniej, książki, która nie należy do specjalności, związanej z obsługiwaniem kieratu zarobkowego.

Jakże więc nazwać księgarza-wydawcę, który całe okno swego przybytku poświęcił na propagandę brydża? Jest on może zapalonym brydżystą, ale pewnością złym księgarzem. Kto krzewi kult zielonego stolika, ten złą oddaje przysługę czytelnictwu książki. Od jednej talji kart prowadzi droga tylko do drugiej talji kart, nigdy zaś do tych, które są kartami literatury i nauki i z którymi, aby obcować, trzeba umieć się zdobyć choćby na godzinę samotności.

„Kurjer Poranny“ 1.V. 35.

W. R.

Z „SZOPKI WARSZAWSKIEJ“ („Wieczór Warszawski“).

Konsument Monopolu — mówi: Ja panu dam radę przyjacielską, praktyczną i obywatelską... Nauczę pana łatwego sposobu:

Opodatkowany Obywatel: — Będę wdzięczny aż do grobu!

Konsument Monopolu: — Chodźmy na jednego! (Wychodzą!).

Pijmy po butelce, codzień po butelce,
Póki grosz jest w kamizelce,
Będzie znakomicie! Już po deficycie —
Bo monopol da pokrycie!

Pijmy po butelce, ciągle po butelce!
Ulżymy skarbowi wielce!
Będzie dość dochodu, nie będzie powodu
Brać podatki od narodu.

(Mówi): — To jest pomysł genjalny! Epokowy! Łatwo wykonalny! Państwowo! Pomyśl pan, panie kochany, co by to były za zmiany! Nie będzie sekwestratorów! Wystarczy związek restauratorów! Wszystkie formularze wypełniać się będzie w barze! Co rubryka, jednego pod rydzyka! Pod boczek wieprzowy na obrotowy! Pod ogóreczek na kryzysowy dodateczek! Za tydzień zwłoki jeden większy, głębski!

Opodatkowany Obywatel: — Ee, panie! To jest bujanie. Pan jest wstawiony i plecie androny... A zresztą... Jakby to powiedzieć, tego...

Konsument Monopolu: — Chodźmy na jednego! (Wychodzą!).

W SPRAWIE USTAWY PRZECIWAŁKOHOLOWEJ — Poseł, adwokat Henryk Świątkowski, gorący zwolennik walki z alkoholizmem, umieścił w „Robotniku“ dwa artykuły, które ze względu na ważność tematu podajemy w całości.

USTAWA PRZECIWAŁKOHOLOWA DO RESZTY PRZEKREŚLONA!

„W powodzi ostatnich rozporządzeń dekretowych, sypiących się niby bilon z mienicy państwowej, trudno się zorjentować nietylko przeciętnemu obywatelowi, ale nawet i wytrawnym prawnikom. Dekrety regulują tyle najrozmaitszych dziedzin życia w tylu przepisach często nowelizowanych, że dla większości obywateli dzisiejsze ustawodawstwo polskie — to istna Wieża Babel! To też mało kto zapewne w Polsce wie, jakie „dobrodziejstwa“ spływają w postaci dekretów na społeczeństwo. Do jednego z takich „dobrodziejstw“ należy zaliczyć niedawno ogłoszony dekret z 24 października 1934 r. (Dz. U. R. P. Nr. 96, poz. 863) w sprawie zmiany przepisów o monopolu spirytusowym i o sprzedaży napojów alkoholowych. W dekrete tym, opatrzonym tak skromnym i niepokąznym tytułem, rozprawiono się ostatecznie z jedną z największych zdobyczy demokracji, mającą dla Polski doniosłe znaczenie społeczne, gospodarcze i etyczne, mianowicie przekreślono ostatecznie pozostałe jeszcze z ustawy przeciwalkoholowej z dn. 23 kwietnia 1920 r.

prawo obywateli danej gminy do zdecydowania w drodze głosowania powszechnego o zakazie sprzedaży napojów alkoholowych.

Stało się to bez hałasu i rozgłosu, a nadewszystko bez dyskusji i krytyki ze strony „przeklętej“ opozycji. Przekreślono instytucję, godną wielkiego Państwa De-

mokratycznego, jednym pociągnięciem pióra. Zrobiono pogrzeb pierwszej klasy bez świadków, płaczu i orkiestry...

A ponadto dekretem z 24 października 1934 r.:

zniesiono zakaz sprzedaży napojów alkoholowych, zawierających ponad 45% alkoholu;

zniesiono ograniczenie ilości miejsc detalicznej sprzedaży napojów alkoholowych, określone dotychczas na 20 tysięcy;

zniesiono upoważnienie Rady Ministrów do stopniowego zmniejszania ilości miejsc detalicznej sprzedaży napojów alkoholowych;

zniesiono szereg ograniczeń co do miejsc sprzedaży napojów alkoholowych (przystanie stałków i t. d.).

W roku 1931 (ustawa z 21 marca 1931 r. Dz. U. R. P. Nr. 51, poz. 423), „sanacja“ przy wstydliwym milczeniu endecji (szynkarze!)*) przekreśliła 75% doniosłych przepisów ustawy przeciwalkoholowej z 23 kwietnia 1920 r., stanowiącej wzór najlepszej ustawy tego rodzaju, przedmiot naszej dumy narodowej i przykład dla wielu innych krajów — uchwalonej dzięki szlachetnej inicjatywie kobiet — działaczek społecznych. Podniesiono wówczas (w r. 1931) liczbę koncesyj alkoholowych do 20 tysięcy, utrudniono plebiscyty gminne w sprawie zakazu sprzedaży, zmniejszono odległość miejsc wyszynku od szkół, stacyj kolejowych, kościołów i t. p., zniesiono zakaz sprzedaży napojów alkoholowych w dni targowe, jarmarki, podczas odpustów i pielgrzymek; zniesiono dotychczasowe ograniczenia przed i poświąteczne, a zakaz świąteczny ograniczono do godzin od 6-ej do 14-ej; zezwolono na sprzedaż alkoholu na stacjach kolejowych i w wagonach restauracyjnych i t. d. Z największą energją wówczas posłowie i senatorowie P. P. S. występowali przeciwko projektowi „sanacyjnemu”. Prowadzącemu prostą drogą do ułatwienia rozpijanania ludności pracującej. Przeciwko projektowi przemawialiśmy, nazywając rzeczy po imieniu, w komisjach i na plenum Sejmu i Senatu. Przemawiali posłowie Reger, Ciołkosz, Piotrowski i inni; przemawiała tow. sen. Kłuszyńska. *Byliśmy jednym stronnictwem**), które w sposób najbardziej kategoryczny i nieprzejednany opowiedziało się przeciwko jakemukolwiek ograniczaniu ustawy przeciwalkoholowej z dn. 23 kwietnia 1920 r. A co mówili wówczas posłowie i posłanki z B. B., co mówił rzecznik zmiany ustawy przeciwalkoholowej, wiceminister skarbu Starzyński? — „Liczba punktów sprzedaży alkoholu w Polsce może wynosić 20 tysięcy. Nie jesteśmy przeciwni temu, ażeby liczba ta była powoli i stopniowo... zredukowana, i w związku z tem wnieśliśmy rezolucję... Nie pozwolimy sobie narzucać tezy, jakoby obecny Rząd i Bezpartyjny Blok dążył do rozpajania narodu i powiększenia niedoli społecznej stąd płynącej”... (sen. Błędowski; podobnie pos. Drużba i pos. dr. Dyboski). „W mojem przekonaniu lokalne plebiscyty są znamieniem społecznego charakteru tego zagadnienia... Ustawa... przewiduje upoważnienie Rządu do rewizji ilości koncesyj w kierunku zmniejszenia... Ilość koncesyj się zmniejsza... ta ustawa istotnie ułatwi sanację moralną (!), bo jest tak skonstruowana, ażeby mogła być wykonywana” (wicemin. Starzyński — tekst podaję według stenogramu).

Tak więc usypiano wówczas opinię publiczną obietnicami zmniejszania ilości miejsc sprzedaży... w przyszłości i „ściśłego” wykonywania nowej ustawy po to, aby w kilka lat potem bez ceremonij unicestwić resztki ustawy przeciwalkoholowej, odbierając ludności prawo decydowania w swojej gminie o zakazie sprzedaży trucizny alkoholowej.

* Twierdzenie niesłuszne i nieściśle; posłanki ze Zw. Pracy Obywatelskiej Kobiet broniły ustawy przeciwalkoholowej, a przedstawiciele ch.-d., str. narod. i ludowego, oraz ukraińcy występowali gorąco i w Sejmie i w Senacie przeciw projektowi unicestwienia ustawy z r. 1920. (Przyp. Red.)

Wierzę, że w tej ważnej sprawie cała uczciwa opinia publiczna wyda — jedynie sprawiedliwy — wyrok potępiający“.

Henryk Świątkowski.

TAM, GDZIE JEST W POLSCE CORAZ WIĘKSZA „WOLNOŚĆ“.

„Nie pozwolimy sobie narzucić tezy, jakoby... Bezpartyjny Blok dążył do rozparzania narodu i powiększenia niedoli stąd płynącej...” (słowa senatora Błędowskiego z B. B., wyjęte ze stenograficznego sprawozdania z dyskusji w Senacie nad skasowaniem ograniczeń przeciwalkoholowych, objętych rządowym projektem następnie uchwalonej ustawy z 21 marca 1931 r. D. U. R. P. poz. 428”).

Kilka dni temu w artykule p. t. „Ustawa przeciwalkoholowa do reszty przekreślona“, opisałem „dobrodziejstwa“ dekretu z 24.X. 1934 r., który m. in. zniósł demokratyczne prawo obywateli danej gminy do decydowania w drodze głosowania powszechnego o zakazie sprzedaży napojów alkoholowych, skasował zakaz sprzedaży napojów alkoholowych, zawierających ponad 45 proc. alkoholu i zniósł ograniczenie ilości miejsc sprzedaży napojów alkoholowych.

Obecnie mamy do zanotowania jeszcze większe „dobrodziejstwo“. Oto w wykonaniu m. in. powyższego dekretu ukazało się rozporządzenie Ministra Skarbu z dn. 6 grudnia 1934 roku Dz. U. R. P. poz. 964, które weszło w życie 22 grudnia 1934 r., a więc przed świętami Bożego Narodzenia r. b. — „w sprawie zwolnienia niektórych zakładów detalicznej sprzedaży spirytusu i napojów alkoholowych od obowiązku uiszczania opłat z tytułu prowadzenia tej sprzedaży“. Dotychczas sprzedaż detaliczna wyłącznie w naczyniach zamkniętych a) wszelkich napojów alkoholowych oraz spirytusu; b) wina, miodu i piwa mogła się odbywać po uiszczeniu opłat, wynoszących zależnie od klas miejscowości i rodzaju napoju“ od 9 do 132 zł. Obecnie Minister Skarbu rozporządzeniem z dnia 6 grudnia 1934 r. wprowadza nieznaną u nas dotychczas inowację, zwalnia na rok 1935 sprzedających detalicznie (wyłącznie w naczyniach zamkniętych) wyżej wymienione „napoje“ — od opłat — w miejscowościach, liczących do 2.000 mieszkańców włącznie, a więc z reguły we wszystkich wsiach i mniejszych osadach i miasteczkach.

Rozporządzenie to, wydane celem dalszego łatania dziur w budżecie państwowym, niewątpliwie w całej pełni będzie „wykorzystane“ przez różnych handlujących. Tam, gdzie dotychczas — z powodu opłat — nie było sprzedaży wódki i spirytusu, wyrosną małe szynki („wyłącznie w naczyniach zamkniętych, a więc „na wynos“), jak grzyby po deszczu. Łatwość zdobycia wódki i spirytusu — zupełnie legalnie — będzie idealna, nie będzie bowiem sklepiku na wsiach i w miasteczkach, któryby — bez względu na to, co sprzedaje: produkty spożywcze, materiały łokciowe, mydło, czy drzewo i t. p. — nie skorzystał z tego błęgiego przywileju sprzedaży bez żadnych opłat „napojów“ alkoholowych.

Konsekwencje życiowe tego rozporządzenia, stawiającego kropkę nad „i“ po przekreśleniu demokratycznej ustawy przeciwalkoholowej z 23 kwietnia 1920 r., nie dadzą na siebie długo czekać. Pomówimy o tem w najbliższym czasie. Tymczasem czekamy na głos lekarzy, społeczników, sędziów i wszystkich tych, którym sprawa zdrowia fizycznego i moralnego naszego społeczeństwa leży na sercu. Niech przemówią i ocenią. Idzie tu bowiem o największą stawkę — o największe dobro każdego narodu i Państwa!

W każdym razie obecnie byłoby nonsensem skarżyć się na „zupełny“ brak wolności w Polsce“.

„Robotnik“ z dn. 31.XII. 34 r.

Henryk Świątkowski.

„POPIELISKO“ P. ZOFJI HERWICHOWEJ. Ocenę tej powieści zamieścił krakowski „Głos Narodu“ — czytamy tam m. in.: „Powieść o nałogowym pijaaku, ró-

wnocześnie powieść o bezgranicznym poświęceniu się żony dla szczęścia małżeńskiego. „Popieliskiem“ jest rozbicie współżycia przez wielkiego wroga, jakim jest alkohol.

„Należy wiedzieć, który kieliszek powinien być ostatni“, bo na tej granicy rozpoczyna się defenzywa ducha przeciw alkoholowi. Wybraniec Anki tej linii nigdy nie dojdzie, korzystają z tego i amatorka trójkąta i niewiasta przygodna, a z tego i fałszerstwa księgowe i ruina jego i jego domu. A przecie miał tak oddaną, zapracowaną i inteligentną żonę!

Na tle tej nędzy moralnej i fizycznej jego odbija się kontrastowo małżeństwo drugie.

Tendencja antyalkoholiczna. Powieść wyróżnia się od „nowoczesnych“ delikatnością wyrażań np. „małżeńskie zbliżenia stały się dla Anki przykrym szablonem“, — „trzeba umieć mijać przeszkody, by każda napotkana kałuża nie budziła pragnienia“. Tę zaletę dźśl wyróżnić należy wobec upowszechnienia plugastwa.

Na dobro dzieła zapisać trzeba częste refleksje. W jaśniejszym momencie bohater wyznaje: „Dotąd myślałem, że niepicie w towarzystwie należy uważać za jakieś swoiste kalectwo, którego trzeba się wstydzić; teraz wiem, iż jest w tem niepicciu jakaś głębsza społeczna idea, zaszczytne wyróżnienie wśród tłumu“.

Choć nie „modernistyczna“ książka, czytamy ją z wzrastającym stale zajęciem. Osnowa zadawała“.

III.

MARNOTRAWCY NIEDZIELI.

Czerwcowe niedzielne niebo śmieje się najblękitniejszym z uśmiechów. Wiatr pachnie. Nad Wisłą rzeźwy chłód. Na plaży rozkoszny żar. W jakimś zielonym cieniu drzew czeka na nas jedwabście słodki szelest liści...

A tymczasem miasto, rozprażone, dyszy kurzem, „pachnie“ asfaltem, „szeleści“ rykiem klaksonów, dzwonekami tramwajów, zgiełkiem, hukiem, hałasem...

A więc, kto żyw — w niedzielę za miasto!

Ale nie wszyscy, proszę państwa. Jest wielu warszawiaków, a możnaby ich rachować na spore tysiące, którzy urządzają sobie niedziele tak, jakby nie istniało słońce, lato i t. zw. „łono przyrody“.

Gdzie są tacy oryginałowie? Ależ wszędzie wokoło nas, na każdej ulicy, w każdej kamienicy.

*

O dwunastej zapalają się girlandy lampek u drzwi kin. Z ulicy są niewidoczne. Jak ogarki, nikną przy słońcu oślepiającym. Ale wtajemniczeni widzieć ich nie potrzebują. Oni o nich *pamiętają*.

Ciągną sznurami po narkotyk srebrnego ekranu: grupki, samotni, parki. Znikają w zimnej czeluści kina. Z namiętną tęsknotą czekają na warkot motoru, dreszczem emocji przejmują ich struga światła, która przebija czerń przestrzeni.

Drżąc z niecierpliwości, łykają ciężkostrawne zakąski reklam. Nadprogram Pata wznaga tylko ich głód „prawdziwego kina“.

Nareszcie, nareszcie kłapie senną paszczą lew Paramountu. I zaczynają się godziny upojne z Gretą Garbo czy Josefem Mojiką. Bije serce cudzemi wzruszeniami. Często łyż jak groch polecą nad klamanem cierpieniem hollywoodzkiej gwiazdy.

W antrakcie je się cukierki, tupie się z niecierpliwością pod krzesłem i cierpi się na nowo reklamy, oraz dodatek Pata, by przeżyć po raz drugi los kogoś z ekranu. Są typy kinomanjackie, które zaszywszy się w kącie sali, siedzą „kamieniem“ po dwa i trzy seansy. Weszli w południe, wyszli wieczorem.

*

Jak państwo spędzają niedzielę?

Jak zawsze, brydź z Franiami. Życybyśmy poprostu bez tego nie mogli.

Ranek jest pusty, roztargniony, pół-przespany, pół-przeważany. Potem—szybko obład, bo Franiowie już pewno w drodze.

Śpiesznie zasiada się do kart.

— Pogramy trochę, a potem wypadniemy za miasto.

Ale nie wypadnie się nigdzie. Rżnie się w karciecia przez nieskończone godziny, do północy, jeżeli nie do świtu. Niema już pogody, nie obchodzi deszcz, może być upał lub mróz, może słowik najpiękniejsze trele w krzewach za oknem wyciągać. Zamknie się okno. Odepchnie się wszelką przeszkodę. Wszystko jest nieważne.

Ważne jest tylko, czy się leży na „bez atu“, czy wygra się licytowanego szelmka, czy ma się „boki“, czy uda się impas pod króla, czy nie.

Nazajutrz rano idzie się do blura z podbitymi oczyma i obolałymi kośćciami, przeklinając świat i wyłamując szczęki w potężnym ziewaniu.

*

Pani Józefowa, „dozorcyzna“ familję w gości na niedzielę zaprasza. W suterynie zasiada osób jedenaście. Przysiedli na brzeżkach łózek pod suflet zasłanych. Miejsca brak. Stłoczyli się jaknajciaśniej przy stole kulawym. Poszła w kolejkę „czysta“. „Upycha“ się „schab z nóżkami“ i „małosolne“ z leberką.

Sypią się kawały, wloką się familijne opowieści, czerwienieją twarze, szklą się oczy. W mętnej powietrzu suteryny możnaby „siekiere zawiesić“. Okienko fuksjami zasłonięte przewiewu nie dopuszcza.

Gdzieś tam nad studnią podwórka, nad dachem kamienicy — świeci słońce. Gdzieś pachnie łąka, śpiewają ptaki. Z grobowej wnęki suteryny bucha chór głosów ochryplych:

— Sto lat, sto lat...

*

W zadymionej kawiarni nad wystygłą pół-czarną przesiedzi niedzielę emeryt. Nad romansiem Glyn, czy Dell przepróżniaczy się niedzielę w łóżku.

W cieniu bramy — salonie panienek z kuchennych schodów, przerażające się popołudnie słoneczne.

Oto niedziela niektórych warszawiaków.

„Express“. 23.VI.

KRONIKA.

XV ZJAZD PSYCHJATRÓW POLSKICH odbył się w dniach 8—10 czerwca w Płocku i Gostyninie (nowy, wspaniałe urządzone Szpital Psychiatryczny). Zjazd zgromadził około 150 uczestników. Na wniosek Polskiego Tow. Psychiatrycznego Zjazd jednomyślnie powziął następującą uchwałę:

„XV Zjazd Psychjatrów Polskich, stwierdzając, że zniesienie szeregu najważniejszych przepisów Ustawy przeciwalkoholowej spowoduje nieobliczalne straty, uważa za konieczne reaktywowanie zniesionych przepisów Ustawy przeciwalkoholowej“.

REZOLUCJE VIII SEJMIKU PRZECIWAŁKOHOLEWEGO W POZNANIU:

1) Wobec dzisiejszego zubożenia społeczeństwa. Sejmik przypomina, iż ruch trzeźwości i trzeźwość narodu są niezbędnym warunkiem odrodzenia gospodarczego. To też Sejmik liczy na poparcie ruchu tego przez społeczeństwo i Państwo. 2) Sejmik wyraża szczerę ubolewanie, iż wbrew żywotnym interesom narodu i Państwa, usunęto ważne artykuły Ustawy przeciwalkoholowej i obniżono cenę na napoje odurzające. Równocześnie Sejmik zwraca się do Rządu z usilną prośbą o lepsze przestrzeganie zakazu sprzedawania napojów alkoholowych młodzieży poniżej lat 21.

WALKA Z ALKOHOLIZMEM W ŁAPACH. Zarząd Koła Abstynenckiej Ligi Kolejowców w Łapach uchwalił: 1) Zwrócić się z apelem do wszystkich miejscowych

organizacyj społecznych o zwalczanie wszelkimi możliwymi środkami alkoholizmu, jako największego wroga ludzkości i szerzenie hasła trzeźwości, przesyłając w tym celu po dwa egzemplarze miesięcznika „Trzeźwość“ dla szerszego zaznajomienia się z celami A. L. K. 2) Zaprosić na zebranie przedstawicieli wszystkich organizacji społecznych w celu ustalenia programu wspólnego frontu walki z alkoholizmem. 3) Prosić organizacje społeczne o wybór ze swego środowiska prelegenta, któryby przynajmniej raz na miesiąc wygłosił w świetlicy danej organizacji odczyt przeciwalkoholowy. 4) Prosić kierownika szkoły (Nr. 1) o założenie koła szkolnego A. L. K. 5) Prosić kierowników szkół Nr. 1 i 2 o nawiązanie kontaktu z rodzicami dzieci, uczęszczających do szkoły w sprawie zaprzestania zmuszania dzieci do używania alkoholu ze względu na szkody moralne i fizyczne, jakie powoduje u dzieci alkoholizm. 6) Prosić członka Zarządu Koła p. Zofję Tymczyową o założenie koła kobiecego A. L. K., którego zadaniem będzie użycie swego wpływu na mężczyzn w sprawie zaprzestania używania alkoholu, oraz zwalczanie alkoholizmu w środowisku kobiet i dzieci. 7) Zorganizować własną bibliotekę abstynencką. 8) Zorganizować Kurs A. L. K. dla kolejarzy w Łapach i 9) Wyjednać stały lokal kolejowy na świetlicę i poradnię A. L. K.

OSOBISTE. Dnia 17 stycznia b. r. powstała przy Polskiem Towarzystwie Higijenizmem we Lwowie Sekcja Eugeniczna. Przewodniczącym Sekcji obrano jednomyślnie znanego i zasłużonego działacza przeciwalkoholowego i pedagoga, p. Dyr. Bronisława Duchowicza. — Dn. 14 czerwca odbyło się w Warszawie doroczne Walne Zebranie Związku Przeciwwenerycznego; przy wyborach uzupełniających na członka Zarządu Związku powołany został m. i. red. „Trzeźwości“, p. Jan Szymański. Prezesem Związku jest p. dr. Leon Wernic.

KONCESJE ALKOHOLOWE W WARSZAWIE. Jak donosi „Express Poranny“, ustalono dla Warszawy 670 miejsc detalicznej sprzedaży alkoholu i dodaje: „Knaipy nie trzeba będzie szukać ze świecą w rękę“. Istotnie — jedna „koncesja“ przypadać będzie mniej więcej na 1,800 mieszkańców, podczas gdy według zniesionego przepisu Ustawy przeciwalkoholowej z r. 1920 stosunek ten miał wynosić 1 : 2,500.

Planujący kryzys powinien skłaniać do największej ostrożności w szafowaniu trucizną alkoholową, dzieje się, niestety, naodwrot — bez oglądania się na skutki. A te istnieją i to bardzo wymowne, powiedzielibyśmy, jaskrawe nawet. Trudno ich nie zauważyć; chyba, że się nie chce widzieć rzeczy oczywistych. Oto garść ich z ostatnich czasów:

SKUTKI ALKOHOLOWE W WARSZAWIE.

Cztery wesołe kobietki, notowane w urzędzie obyczajowym, urządziły wesołą libację na schodach przy ulicy Solnej Nr. 9. Wynikła awantura. Dozorca domu 62-letni Józef Bors chciał grzecznie usunąć hałasujące towarzystwo, dziewczyny rzuciły się na niego, drapiąc go i bijąc pięściami po twarzy, mareszcie butelką z wódką rozbiły mu głowę. Policjant zlikwidował zajście, aresztując trzy awanturnice, czwarta uciekła. Borsą opatrzyło pogotowie. („Express Poranny“, 6.V. 35).

Dwudziestopięcioletni Henryk Hardeja łatwo popada w stan zamroczenia alkoholowego. Zjawił się w ambulatorjum pogotowia z poranionemi w jakiejś awanturze wargami. „Już nigdy więcej nie będę pił“, oświadczył lekarzowi, nakładającemu mu opatrunek. W kilka godzin później, po obfitej libacji, której nie potrafił się oprzeć, urządził tak wielką awanturę, że poturbował kilka osób, które odpłaciły mu pięknem za nadobne. W rezultacie nasz bohater znalazł się w szpitalu na Czystem. („Express“, 7.V. 35).

Sąd Okręgowy skazał na rok więzienia Annę Falkowską, która zabiła siekierą swego męża, Czesława. Łagodny wymiar kary wiąże się z ustaleniem przez Sąd, że zmarły był tyranem i pijakiem. Krytycznej nocy, znajdując się w stanie nietrzeźwym, wpadł w szal pijacki i chwycił żonę za gardło. W czasie walki Falkowska porwała

siekierę i zadała nią mężowi cios w głowę, a następnie, gdy już leżał na ziemi, zmasakrowała mu czaszkę kilkoma uderzeniami.

Nieszczęśliwa kobieta, którą mąż stale teroryzował i maltretował, wyciągając od niej wszystkie jej zarobki na wódkę, musiała myśleć o utrzymaniu całego domu i żyła cingle w obawie ekscesów męża, który po pijanemu wyrządzał krzywdę nawet małym dzieciom: ofiarę jego padło już jedno z dzieci, które po brutalnym kopnięciu ciężko się rozchorowało i zmarło w szpitalu. („Kurjer Poranny“).

Tak to alkoholizm, objawiający się częstokroć pozornie na wesoło lub komicznie, kończy się czasem w sposób tragiczny.

Z dorożki samochodowej na ulicy Książęcej szofer i dwaj jego pomocnicy wyrzucili w biegu, po uprzednim obrabowaniu, jakiegoś pijanego pasażera. Manewr ten zauważyli inni kierowcy dorożek samochodowych, którzy po dłuższych wysiłkach samochodów zatrzymali i wszystkich oddali pod opiekę policji. Ofiarę rabunku przewieziono do szpitala. („Wieczór Warszawski“, 9.V. 35).

Józef Sadowski, robotnik, powróciwszy do domu w stanie nietrzeźwym, zaczął się awanturować, gdy żona chciała go uspokoić, rzucił się na nią, usiłując pobić. Sadowska, broniąc się, porwała siekierę i zadała nią kilka ciosów awanturnikowi, który runął, brocząc krwią, na podłogę. W stanie ciężkim przewieziono pogotowie Sadowskiego do szpitala.

A teraz „weselszy“ kawałek. Ulicą Leszno szedł jakiś pijak, natrafiwszy na słup latarni, zaczął uderzać weń głową; posterunkowy chciał odprowadzić rannego w głowę pijaka do lekarza, lecz pijany chwycił się oburącz słupa i nie chciał ustąpić. Policjant przy pomocy kilku przechodniów, po stoczeniu walki z pijakiem, przeniósł go do lekarza, który nałożył mu opatrunek. („Wieczór Warszawski“, 12.V. 35).

W piwiarni zebrało się towarzystwo rzemieślników fabryki, by uczyć awans kolegi na majstra. Gdy goście osuszyli kilka butelek wódki, przysza kolej na popisy; splierano się, kto posiada bardziej precyzyjny rewolwer. Przy oglądaniu broni pudł strzał i kula zabija Kowalskiego, zabity pozostawił żonę z trojgiem drobnych dzieci. Mimowolny sprawca śmierci przyjaciela usiłował odebrać sobie życie. („Wieczór Warszawski“, 1.VI. 35).

A oto wypadek, szczególnie jaskrawo ilustrujący bezmyślność i okrucieństwo pijackie: Na rogu Orlej i Leszna jeden, z przechodzących czterech podchmielonych mężczyzn, zatoczył się na jezdnię i został uderzony dyszlem dorożki; wówczas towarzysz uderzonego wskoczył na kozioł i zepchnął dorożkarza na bruk. Reszta nieznanomych rzuciła się na dorożkarza i poczęła go bić, przyczem jeden uderzył dorożkarza butelką w głowę, rozbijając mu czaszkę. Na alarm przybył policjant i 3 napastników aresztował, czwarty zbiegł. Ciężko ranionego dorożkarza pogotowie przewiezło do szpitala. („Kurjer Poranny“, 10.V. 35).

10 maja nad ranem robotnicy, zdążający do pracy, znaleźli na torze kolejowym zwłoki kobiety, wezwany lekarz stwierdził, że zabita straciła przytomność wskutek nadużycia alkoholu i w tym stanie dostała się pod pociąg, ponosząc śmierć na miejscu.

Powiększanie liczby koncesyj alkoholowych, to—powiększanie liczby środowisk, szerzących zepsucie, upadek, nędzę i zbrodnie.

Omyłka druku. W Nr. 5 w art. o Krasickim (str. 210, w. 23 od góry zamiast słów „jak mówi prof. K. Król“ powinno być: „jak mówi Zofja Gąsiorowska“.

Następny podwójny numer ukaże się we wrześniu.

Druk ukończono 26. VI. 1935 r.